

4

ŻOŁNIERZ CYWILEM

Wychodzenie z kanału trwało dłużej niż wchodzenie. Niektórych wyciągano. Zaskoczyła mnie noc i widok szyb w oknach. Obok wjazdu stało kilka osób, cywilów i powstańców na wpół po cywilnemu, wszyscy uczesani, dziewczyny w letnich pantofelkach.

Zawstydziłem się swego wyglądu: bez broni, bez munduru, jak uciekinier. Jeszcze nie przywykłem do tego, aby patrzono na mnie z litością. Dali nam od razu wodę do obmycia twarzy i kromkę chleba. Poszliśmy dalej z nowym śródmiejskim przewodnikiem, poprzedni dwaj chyba zawrócili na Stare Miasto. I o dziwo, jak w bajce, znalazłem się znowu pod Palladium, na punkcie rozdzielczym czy zbiorczym, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed miesiącem zobaczyłem pierwszych powstańców i pierwszego zabitego na skrzyżowaniu Marszałkowskiej ze Złotą.

Jedynym dowodem mojej żołnierskiej przeszłości był wojskowy but i portki Luftwaffe. Byłem tak samo bez broni i samotny jak miesiąc temu. Z zaciekawieniem gapiłem się na miejscowych powstańców. Zdobyli Pastę, Komendę Policji, nie dali się Niemcom. Nareszcie ktoś silniejszy ode mnie, ale przyjazny. Stojąc w przedsionku kina, rzuciłem parę zdań o kanale, Starówce, ale chętniej słuchałem ich opowieści o Paście, o Komendzie Policji. Choć wydarzyło się to przeszło tydzień temu, wciąż tym żyli. Jakiś powstaniec pokazał mi granat obronny, kostkowany z ruchomym trzonkiem, tak piękny, że go chyba szkoda rzucić. Mówił jak syn, przechwalający się swymi powodzeniami steranemu życiem ojcu, ale nie bez szacunku w głosie. W moim umyśle już się utrwaliło, że Niemiec zawsze będzie górą nad Polakiem. Czułem się odrobinę jak po wylądowaniu w bardzo przyjaznym, obcym kraju. Mówimy z jego mieszkańcami tym samym językiem, ale brak nam wspólnej historii. Jak bracia wyrosli oddzielnie. Jeden wśród wilków, drugi wśród brysiów. Ten na igliwiu, tamten na słomie. Czy ten, który do snu zdejmuje buty, może zrozumieć tego, który nie zaśnie bez butów?

Zasiedliśmy w pluszowych fotelach luksusowego kina, najdroższego w Warszawie, czekając na zakwaterowanie. Jako dziecko byłem tu na „Królewnie Śnieżce”. Teraz, po tylu latach

okupacji, jestem pierwszy raz w kinie. O świcie będzie piąta rocznica wybuchu wojny, piąta rocznica niemieckiej napaści na Polskę.

* * *

Pamiętam, matka mnie jednego zbudziła o szarej godzinie pierwszego września 1939 roku. Ojczym otrzymał kartę mobilizacyjną poprzedniego dnia i miał się stawić o siódmej rano na Dworcu Gdańskim. Aby nie zbudzić młodszych braci, nie nastawiliśmy radia i nie wiedzieliśmy, że wojna już się zaczęła. Ubrawszy się szybko i cicho, bez śniadania pojechaliśmy taksówką pustymi ulicami: Czerniakowską, Ludną, Solcem do Wybrzeża Kościuszkowskiego. Nie tyle z braku pieniędzy, co dla oszczędności taksówki nigdy się nie brało, więc to wydarzenie tym bardziej wryło mi się w pamięć. Szoferem był Rosjanin, emigrant białogwardzista. Nie podzielał naszego optymizmu, nie słowami, ale tonem głosu. Mknęliśmy po gładkim asfalcie wzdłuż Wisły, czerwone słońce wyglądało już spoza horyzontu i rzeka mieniła się srebrem, złotem i krwią. Ilekroć coś groźnego się działo, kolory stawały się inne niż na co dzień. Wojna i zwycięstwo wydawały się pewne. Podniecało mnie zbliżanie się nieznanego, martwiłem się o ojczyzna i cieszyłem, że szkoły zostaną zamknięte.

* * *

Na sali kinowej przy ekranie paliła się mała żarówka rozpraszając nieco ciemności. Siedliśmy obok siebie wymieniając uwagi o kanale. Co ja brałem za porzucone plecaki, to zdaniem kolegów były trupy. Spostrzegawczość nie dopisywała mi w kanale. Oczekując światła dziennego nie zauważyłem nawet, kiedy przechodziliśmy nocą pod otwartymi włącznikami. Inni nawet gwiazdy widzieli nad głową. Motor, który raz usłyszałem, miał być czołgiem, przejeżdżającym tuż obok włącznika.

Rozmowy przycichły. Od czasu do czasu ktoś ukazywał się na tle ekranu zapewniając, że szykują nam kwatery. Wszystkiego było nas ze trzydzieści osób. Siedzieliśmy skupieni pośrodku morza czerwonych, pluszowych foteli, koniec sali niknął w mroku. Nie można było wyciągnąć się w poprzek, bo poręcze piły w żebra. To opierałem czoło o fotel z przodu, to znów zsuwałem się jak najgłębiej, półdrzemałem coraz bardziej obolały. Budziłem się raz po raz, ślina ciekła mi z ust na pierś, co otworzyłem oczy, spoglądał na mnie pusty, szary ekran. Nie wiem, dlaczego nie wyspałem się po prostu na podłodze. Może utrata karabinu sprawiła, że nie chciałem zadzierać z tym umyętym oficerkiem z podwiniętymi rękawami, który

nas miał zaprowadzić na kwaterę. Jeszcze by się przyczepił do mojej rany. Po Starówce pluszowy fotel dawał poczucie luksusu. Tak więc luksusowo siedzieliśmy, miękko, cicho, bezpiecznie. Gdy tylko zamykałem oczy, obrazy kotłowały się wokół wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin. Tłum nocą na Hipotecznej, rozpruty Pasaż, kanały w błękitnym świetle latarek; majaczyły dziesiątki twarzy zasypanych, a może jeszcze żywych.

Ktoś wszedł i oznajmił, że już dzień i że możemy udać się na śniadanie. Drepczemy wolnym kroczkiem Złotą na plac Napoleona do restauracji PŻ, to znaczy Pomoc Żołnierzowi, tego u nas na Starówce nie było. Ludzie nie przyzwyczaili się jeszcze do wyglądu powstańców ze Starówki, oglądają się, przystają. Władze okazałyby więcej rozumu internując nas natychmiast po wyjściu z kanału, celem poddania przymusowemu odkurzeniu, myciu, goleniu, stryżeniu oraz spaniu przez dwie doby, zamiast psuć powietrze głupią propagandą, że nie jest źle, a będzie lepiej. A tak budziliśmy grozę wyglądem, zapachem i staromiejskim humorkiem.

W PeŻecie zjedliśmy parę kalorii, od razu pomyślałem, jakie to znakomite zupy pitrasiał do samego końca nasz kucharz Ukrainiec. Kelnerki rozkładały bezradnie ręce - brak żywności. W najlepszym razie można było dostać odrobinę sztucznego ryżu zwanego sago z czerwonym sztucznym sosem pomidorowym. Oczywiście ranni, a przy tym nie uzbrojeni, byli balastem. Trudniej z tym się pogodzić szturmowcom co niedawno, zależnie od wymogów chwili, z bronią w ręku szabrowali magazyny lub stawiali czoła czołgom. Więc popijaliśmy za darmo „kawę” bez cukru, nie przeczuwając, że najbardziej tuczące prowianty, sardynki, ujawnią się wkrótce tuż obok w dużych ilościach w pałacej się Adrii, gdzie były przechowywane dla tyłowych panów oficerów.

Było o czym gadać. Pantoflowa poczta donosiła, że ranni i nieuzbrojeni szli kanałem całą noc. Starówka nadal walczyła. Można to było poznać po locie sztukasów na północ, gdzie niebo zasnuwał dym, i dochodzącemu stamtąd bulgotaniu, jakby kto gotował smołę na ostrym ogniu. Znowu wyszliśmy na spacer, ludzi sporo się kręciło, uczesanych i schludnie odzianych. Trzymaliśmy się z dala od placu Napoleona, bo „gruba Berta” już tam spadła parę razy. Obok, w podziemiach PKO, podobno mieściło się jakieś dowództwo. „Szafa” skrzypnęła sześć razy. Tutaj zwali ją „krową”. Wskoczyliśmy na wszelki wypadek w bramę i na klatkę schodową. Okazało się, że nie w Stare Miasto mierzyli. Nim trzepnęło szósty raz, wychyliłem się i

zobaczyłem, że dołożyli daleko po drugiej stronie Marszałkowskiej - cała ulica w kurzawie i ogniu.

- U nas też tak robili - wyjaśniłem tubylcom - w pierw pięć burzących, a ostatnia zapalająca.

Dziwna sytuacja. Każdy punkt Śródmieścia był w zasięgu granatników, nie mówiąc już o cięższych broniach, mimo to ludzie chodzili, a nie przemykali się. Jakby istniała umowa czy zwyczaj, że bomby i pociski spadały tylko na Starówkę. Wszyscy tutaj do tego stanu rzeczy już przywykli, niczym do prawa natury. Z dumą mówili o osiągnięciach Śródmieścia, przeocząc oczywisty dla nas, ze Starówki, fakt, że nigdy nie doświadczyli na własnej skórze pełnego impetu niemieckiego natarcia. Spacerując, znowu uczyliśmy się, że nogi służą do chodzenia, a nie do ratowania życia. Wałęsaliśmy się nie tylko w celach turystycznych, ale także w poszukiwaniu kwatery. Już rysowała się wizja tego, co czekało nas, niedobitków bez oddziału: spanie w bramie lub pluszowy fotel.

Wstąpiliśmy do następnej PŻ na „kawę”. Restauracje były tylko dla powstańców. Na Starym Mieście nie wydano nam legitymacji AK, a w Śródmieściu posiadał ją każdy, więc łatwo było podpaść, jeśli nie miało się munduru. Jak dotąd nie napotkałem trudności, chodziliśmy w kilku, a koledzy mieli panterki. Z munduru pozostał mi tylko jeden but i lotnicze spodnie; pył z Pasażu utrwalony płynem z kanału zniszczył błękit spodni tak, że wyglądały na brudny drelich. Żebym miał chociaż kurtkę Luftwaffe, która razem z rodzinnym złotem leży na dnie Pasażu. Wchodząc do PŻ czy rządowego biura prężyłem się nieco, wypinałem półgołą pierś spod rozdartej koszuli. Z powodu ciasnego buta trudno mi było nadrabiać żołnierską postawą. Utykałem. Mówiłem też inaczej niż tutejsi, głośniejszy, wolniejszy, zaczepniejszy. Wszyscy ze Starówki mówili głośno i zaczepnie, zwłaszcza gdy miejscowi ich podrażnili.

Wciąż nieustanny bulgot dochodził od strony Starego Miasta. Jeszcze się bronili. Gdzieś tam pośród dymów byli Edek, Hanka, Kawka, Kobuz, kpr. Jur, Jaśmin, Barykada, Anka, Kuba, Krypo, Szofer... Jak dobrze być znowu widzem.

Umówiwszy się z kolegami o oznaczonej godzinie w PŻ lub na deptaku pomiędzy Bracką i Kopernika odłączyłem się, aby poszukać Jurka, który mieszkał na Wareckiej. Poprzecznymi ulicami można było spacerować, natomiast Nowy Świat, poprzecinany głębokimi przekopami i solidnymi barykadami, był pusty z powodu ostrzału z niemieckiej fortecy BGK. Umocnienia lepiej wykonane niż na Starym

Mieście. Zszedłem do piwnicy i dowiedziałem się, że Jurek żyje, zdrowy, jest na służbie. Szukając jego rodziców przechodziłem z piwnicy do piwnicy. Strzałki wskazywały kierunek, a nad otworami łączącymi poszczególne kamienice napisana była nazwa ulicy i numer domu. Jeśli miałeś światło, nie zabłądziłeś. Ludzie byli usłużni, i - jak się później okazało - gościnni. To mnie mile rozczarowało. Po obejściu bowiem różnych kwatermistrzów umocniłem się w postanowieniu, że po wojnie z Polski pójdę i więcej nie wrócę.

W razie potrzeby ruch mógł się odbywać piwnicami zamiast górą, podobno były przekopy nawet pod ulicami. W porównaniu z bałaganem w urzędach AK, w piwnicach uderzał porządek i dobra organizacja. Drażniły mnie nieco te duperele, które zaprzętały tu ludzkie umysły. Choć przywykły do życia na koturnach, znajdowałem jednak pewną przyjemność, przysłuchując się rozmowom na temat przesunięcia walizek, by nie zawadzały w przejściu, o służbie przeciwpożarowej i różnicach wartości odżywczej sago i mąki. Czekałem opowiadałem, jak to się żyło na Starówce. Gdybym miał mundur i broń, gadałbym o połowę mniej. Rodzice Jurka wrócili. Nigdy nie podejrzewałem, że aż tak mnie lubili. Wkrótce zjawił się i sam Jurek, powiadomiony o gościu z zaświatów. Najpierw mycie. Wnieśliśmy wodę wiadrami na górę, gdzie była wanna. Zeszła jedna woda koloru błota, a ja wciąż byłem brudny jak świnia. Drugą porcję wody poświęciłem tylko głowie. Tynk Pasażu utrwalał gnojem kanału stwardniał na skorupę. Znowu siedziałem w błotnej kąpieli, a kołtun na głowie nie schodził. Odświeżony, przespałem się i wróciłem do sagi Starego Miasta.

Przed wieczorem ruszyłem w poszukiwaniu kwatery. Od Annasza do Kajfasza. Tylu już nas było ze Starówki, że miejscowym nie imponowaliśmy. Pytali:

- Gdzie twój oddział, kompania, batalion?
- Zasypany - mówię.
- Wszystkich nie mogło zasypać.
- Zasypało...
- Legitymację masz?

Znalazłem w końcu nocleg, w dół od Kopernika. Jurek i rodzice zapraszali, abym został, ale nie mogłem ich objadać. Władze powinny mnie żywić jako niedobitka. Rano więc poszedłem do PŻ na kawę i kalorie. Rozmawiamy, pijemy kawę bez cukru przy akompaniamencie latających min czy czegoś tam, eksplodujących o kilkaset metrów. Czytamy gazety, Amerykanie idą jak w masło.

Rosjanie też, właśnie przekroczyli bułgarską i jugosłowiańską granicę. Długo to już nie potrwa.

Tymczasem zaczynał mi się krystalizować światopogląd: na linię się nie pchać, od komendy głównej trzymać się z daleka, bo ich będą bombami okładać, ale nie za daleko, bo jak co do czego przyjdzie, to oni zawsze coś wykombinują, aby skórę swoją ocalić, i będzie można w tłoku pomiędzy ich nogami się przemyścić.

Kazia odnalazłem przy sztabie. Przedstawiłem się niby pół żartem jako kapral grupy szturmowej. Gdy mówiłem ludziom, że nie mam broni, munduru, kolegów, bo mnie zasypało przy myciu, trudno im było w to uwierzyć. Chyba, że zacząłem opowiadać jak artysta, ze szczegółami, modelując głos. Już tak się wprawiłem, iż na ludzkich uczuciach potrafiłem zagrać jak na harfie, słuchaczy wzruszałem prawie do łez. Kazio, o rok starszy, a już dochrapał się porucznika, choć do niego ani razu nie strzelili. Poczęstował mnie, po czym wróciłem do PeŻetu na kawę. Gadamy, czytamy. Kelnerki żartują, że można poznać, kto ze Starego Miasta: gdy „krowa” ryknie, wszyscy zrywają się od stołów, tylko ci ze Starówki siedzą, jakby nie słyszeli. Zdecydowałem przenieść się na Powiśle, gdzie jeszcze nie zważyło się tylu uchodźców. Na Lipowej mieszkał mój przyjaciel, mógłbym się tam zatrzymać.

Między Bracką a Nowym Światem, z megafonu, byłej niemieckiej szczekaczki, podali ostatnie wiadomości z propagandowym kwiatkiem na zakończenie. W formie niby to reportażu-migawki ulicznej: „Stoi gromadka ludzi i dyskutuje, jakiś facet się włącza i zaczyna namawiać, by poddać się Niemcom, że Powstanie nie ma sensu, że nie wygramy... więc ludzie łobuza za łeb myśląc, że to niemiecki agent. No i co się okazało, kim był ten dywersant... Peperowcem”.

Po drodze dowiedziałem się, że Halszka pracuje w szpitalu na Kopernika, zmieniłem nieco kierunek i wkrótce ją odnalazłem. Zeszło na Starówkę, ludzie są zafascynowani tym tematem. Poczęstowali mnie. Pogawędka nie trwała długo, gdyż przynieśli rannych z kościoła św. Krzyża. Jeden z nich dostał dużym odłamkiem przez podeszwę buta w stopę, w sam środek. Wyglądała źle, wyszarpało sporo mięsa. Żartował, że za parę dni wróci do oddziału. Gdy rozcinali mu but, opowiadał, jak to się stało. Najoczywiej był nieostrożny, brawurował. Kto go wyniesie, gdy przyjdzie czas uciekać? Wciąż bawią się w harcerstwo. Jeszcze nie rozumieją, że na wojnie chodzi o to, aby przeżyć wroga. Dopiero co ułożyłem sobie

plan, jak przetrwać Powstanie, a teraz ten ranny tak mnie przygnębił, że wyszedłem bez pożegnania i więcej już Halszki nie zobaczyłem. Takie dzieci obsadzają front, nie ma się za kim dekować!

Nad Starówką nieprzenikniony czarny snop dymu stoi, jakby sama ziemia się paliła. Unosi się wyżej niż chmury mogą sięgać i zawija na boki jak grzyb. Zasłania ćwierć horyzontu. Pomyślałem... Edek, Hanka, Anka, Kuba, Kobuz, Barykada, Szofer, kpr. Jur, Lech, Jaśmin, Krypo... gdzie oni teraz są. Samoloty już nie lecą w tamtą stronę.

Znowu wypuściłem się w poszukiwaniu zakwaterowania jako niedobitek, jako ranny już bym się nie przemycił. Od kaprali do plutonowych, do sierżantów, podchorążych, podporuczników i z powrotem do kaprała. Od Żbika do Rysia, od Wilka do Tura, od Jelenia do Tygrysa, od Orła do Sokoła, od Ostoi do Zawiei, od Jura do Macieja, i tak w koło Wojtek.

W przeciwieństwie do żołnierzy Starówki wszyscy mieli naszywki, byle starszy strzelec obnosił się ze swą belką. Salutowali trzema palcami według regulaminu, podczas gdy u „Chrobrego” robiliśmy to całą dłonią. Na Starym Mieście salutując nieregulaminowo, nie nosząc dwóch belek podkreślałem, że jestem walczącym cywilem, ochotnikiem i anarchistą. Tu tymczasem wyrosła urzędnicza drabina, nie musieli walczyć, więc bawili się w wojnę. Przez ten miesiąc oko sobie wyćwiczyłem i od razu wiedziałem, ile to wojsko warte. Większość tych podoficerków, podchorążaczków i podporuczniczków wypełniających próżnię pomiędzy linią i naczelnym dowództwem odznaczała się zarozumiałstwem maskującym zazdrość o sławę Starówki. Raz po raz się słyszało:

- Dość ciężko tam pewnie było, no, ale nie poszło wam, a my dajemy sobie radę.

Z bronią u nich kiepsko, za dużo salutowania i zbiórkowania, a doświadczenia mało. Uważali potyczki o Uniwersytet za ciężkie walki. Jedynie oddziały na zachód od Nowego Świata były dobrze zaprawione w walkach, czytaliśmy o nich wiele na Starym Mieście.

Jak długo - myślałem - uda mi się łązikować i żyć z żebrania? Widok rzeczywiście sprawiałem żaloszny. Rozdarta koszula, nie rozczesany kołtun, miesięczny zarost, przygłuchy, rozmawiając wyjmuję wate z ucha, jedząc zatykam je palcem. Moje opowieści brzmią prawdziwie, nikt nie wątpi, że stamtąd przyszedłem. Nie owijam prawdy w bawełnę. Przedstawiam całą grozę sytuacji,

poświęcenie powstańców, przewagę Niemców. Dla równowagi podkreślam zabawne momenty, na przykład, jak Kawka z Hutnickim zjechali z dachu na podwórze, gdy dom spod nich wydmuchnęło, i nic się im nie stało. Daję do zrozumienia, że Niemiec nie taki straszny i łeb mu ukręcić można, sypię przykładami. Robię te ustępstwa, aby nie drażnić „politruków” i nie zostać oskarżonym o sianie defetyzmu. Wzbudzam podziw zmieszany ze współczuciem, dzięki czemu częstują mnie z żołnierskiego kotła, ale noclegu jak nie było, tak nie ma. Nie w tym rzecz, że nie ma gdzie spać - administracyjne przepisy wymagają, by nie pomijać służbowej drogi. Wstępując do miejscowego oddziału utraciłbym swobodę ruchu i byle jaki baran by mi rozkazywał. A gdybym się zadekował wśród cywilów, zanim dopuściliby mnie do miski, chcieliby wiedzieć, skąd się wzięłem, dlaczego, będąc powstańcem, nie jadam z wojskiem. Przy tym przygnębia mnie cywilne i piwniczne otoczenie.

Upewniwszy się, że ulica Lipowa, gdzie mój przyjaciel mieszkał, jest po naszej stronie, pokuśtykałem na Powiśle. Co jakiś czas z okropnym wyciem pocisk „grubej Berty” spadał za placem Napoleona. Był to jeden z powodów, dlaczego postanowiłem nie wracać do Jurka na Warecką, która znajdowała się w pobliżu placu. Na Dobrej zasięgnąłem języka. Dom przy Lipowej, cel mej wędrówki, był trzeci od linii frontu. Po co wypuszczać się pod samych Niemców, skoro nie mam zaufania do tutejszych powstańców. Zawróciłem. A oto niedaleko ulica Czerwonego Krzyża. Gdyby nie Niemcy na wiadukcie mostu, za dziesięć minut byłbym we własnym domu na Śniegockiej. A tak zajmie mi to najmniej całą dobę, o ile w ogóle można się tam dostać. Doszedłem do Nowego Światu. Przystanąłem w bramie, pogadałem z ludźmi. Miałem chęć iść do PŻ, wywiedzieć się o mój batalion. Jak dotąd nikt z napotkanych powstańców ze Starówki nie słyszał, by „Chrobry” wyszedł z kanału. Dzień miał się ku końcowi. Rozmyśliłem się, nie pójdę dalej. Nie uległo wątpliwości, że już część artylerii, która poprzednio ostrzeliwała Stare Miasto, obróciła lufy na Śródmieście. Jutro będzie gorzej. Zawróciłem w dół na Powiśle.

Nie uszedłem daleko, gdy zobaczyłem kuśtykających naprzeciw Edka i Hankę, w towarzystwie wysokiego, chudego, czarniawego, przyszczatego i dziobatego okularnika o lasce, w panterce i tramwajarskiej czapce z daszkiem nasuniętym na oczy. Nie potrzebuję opisywać obopólnego zadowolenia. Na moment poczułem się nieswojo. A nuż mi wypomną, iż sam umknąłem ich nie

powiadamiając, że wpuszczają do kanału. Nie wyczułem jednak żadnego żalu do mnie, skąd zresztą mogli wiedzieć, że zszedłem wcześniej. Zawróciłem wszystkich na Powiśle. Dzięki wymowności Edka znalazł się dla całej czwórki nocleg z kolacją przy jakimś oddziale. Noc zapadła. Wyszliśmy na podwórze. Witold - okularnik w tramwajarskiej czapce - pomimo ran pomagał sobie tak dzielnie laską, że schody nie schody, nadażał za resztą. Edek tylko lekko utykał. Balsamiczne powietrze spływało z ogrodów uniwersytetu, od Niemców. Cisza, ledwie czasem coś pyknęło. Coraz więcej powstańców przysiadało się, aby posłuchać opowieści Edka o ostatnim dniu Starego Miasta.

W parę godzin po mojej ostatniej wizycie w „szpitalu”, pod wieczór 31 sierpnia przyszła wieść, że czołg stoi przed gmachem sądów na placu Krasieńskich. Ranni powstańcy czuwali całą noc. Mówiono, że część oddziałów przebiła się górą, a inne nie chcą się bić, że uzbrojeni wchodzą do kanałów na siłę, że zostało po kilka naboju na karabin. Oczekiwano wejścia Niemców, jak tylko się rozwidni. Dzień jednak zaczął się bombardowaniem i grzmotem artylerii. Rannych przestano przynosić do szpitala. Ustał dopływ wiadomości. W tym chaosie jedynym punktem orientacyjnym był niedaleki terkot kaemów, który się nie zbliżał. Po południu krzyknęli, że kolej na ich szpital schodzić do kanału. Ranni od razu rozpadli się na dwie grupy: tych, co nie mogli chodzić, i tych, co sądzili, że mogą. Wielu pokładało nadzieję w Austriaku, który obiecał wstawić się u swych ziomek. Tylko nieliczni uważali, że bezpieczniej jest zostać niż iść kanałem. Edek wziął Hankę, Lis też się dźwignął i poszli do włazu. (Po Powstaniu sporo nadpalonych kości wałało się w piwnicy szpitala. Najwidoczniej orientacja austriacka zawiodła).

Paru rozbitków ze Starego Miasta dołączyło do rozmowy. Przypomniało mi się, jak ćmiąc papierosy gawędziliśmy sobie nocami w ogrodzie Krasieńskich przy szkole. W końcu i Witold doszedł do głosu i opowiedział swój bohaterski epos z miotaczem ognia, gdy to podpalał „tygrysa” w katedrze św. Jana, podstępnie ukryty za organami, i co z tego wynikło. Zakończył na smutną nutę wyjaśniając, jak to się stało, że chodzi o lasce. Otóż pewnego dnia przyszła mu ochota umyć się od pasa w górę. W tym celu postawił krzesło na podwórzu, miednicę na krzesło. Zaledwie zamoczył się, spadł granatnik opryskując go odłamkami i drużyna straciła dowódcę. Umiłowanie czystości nie każdemu wychodzi na zdrowie. Nigdy bym Witolda nie rozpoznał, a spotkaliśmy się już raz na Woli przy

plądrowaniu szpitala. Edek, Barykada, Maniuś i ja uciekaliśmy, a Witold na czele swojej drużyny gotował się do szturm. W pierwszej chwili wzięliśmy ich za Niemców z powodu panterek.

Miejscowi powstańcy żartowali, że Starówkarze wybierają kwatery w zbombardowanych domach. Uważali to za stan lekkiej umysłowej aberracji.

Gdy się obudziliśmy późnym rankiem, naszych gospodarzy już nie było. Prawie wszyscy poszli na linię. Przy śniadaniu rozległo się znajome wycie „grubej Berty”. „Krowy” porykiwały, sztukasy leciały nisko i gdzieś spuszczały bomby. Miejscowi powstańcy odparli natarcia patroli i duch się wzmocił.

Dzień schodził bez wydarzeń. Wyglądało na preludium do wielkiego natarcia. Wiedziałem, jak to się odbędzie, za dzień, za dwa, za trzy.

Rzeński poranek, błękitne niebo, górą brzęczą samoloty, niegroźne, bo każdy wie, że lecą na kogo innego. Powstańcy siedzą sobie spokojnie i bezpiecznie na stanowiskach, niczym u Pana Boga za piecem. A tu nagle z błękitnego nieba zbliża się rozdierający skowyt, ziemia dygocze, kurz dławi i oślepia. Co dzielniejsi i przytomniejsi potrzęsają wystraszonymi, oficerowie wprowadzają porządek, ponownie obsadzają stanowiska ogniowe, serca wałają, dłonie zaciśnięte na rękojeściach rewolwerów. A tu sztukasy znowu nurkują, gęsiego. Oszołomieni, zakurzeni rozbitkowie wałęsają się, szerząc grozę. Niosą rannych. Temu białe kości wystają z goleni jak połamane, odarte z kory patyki, tamten bulgocze krwawą pianą, a sztukasy zniżają się po raz trzeci. Tu i ówdzie ludzie uciekają przed bombami. Na tyły gęsto sypią się granatniki. Już ktoś leży i wije się. Działa szturmowe i czołgi otwierają ogień, kurz raz po raz przesłania pole widzenia. Cały wszechświat drga i pulsuje. Odważniejsi a niedoświadczeni powstańcy wychylają się, by nie przeoczyć piechoty i już po nich. Krzyk się wdziera, ten zabity, tamten ranny. Niektórzy tak ogłupieli od tego huku i podmuchów, że nie w porę przypominają im się konwencja genewska i opinia światowa. Nagle każdy chce żyć dłużej niż inni, i już po obronie.

Późnym popołudniem całą czwórką poszliśmy na zwiad w górę do Nowego Świata. „Szafę” i „grubą Bertę” głośniejsze tu było słycać. Pociski spadały gdzieś za placem Napoleona. Ludzie już nie spacerowali, przemykali się. W bramie zarządziłem radę wojenną na stojąco. Przedstawiłem Edkowi grozę położenia.

- Trzeci dzień - powiadam - przyglądam się temu wojsku, rozleci

się przy pierwszym uderzeniu. Trzeba przejść do Śródmieścia Południe, tam jest bezpieczniej i zyskamy na czasie, bo Niemcy wprawdzie się zajmą Śródmieściem Północ, a od naczelnej komendy niewiele się oddalimy. W ostateczności, aby uniknąć ogólnej rzezi, Bór nie będzie naśladował generała Sowińskiego, ale podda się z resztą AK. My zaś wyjdziemy z cywilami. Zresztą do tego czasu Niemcy mogą skapitulować, bo Amerykanie i Rosjanie posuwają się bez oporu.

Byłem nawet zdecydowany iść sam, ale tego nie powiedziałem. Edek zgodził się i we czwórkę ruszyliśmy do przekopu, który przecinał Aleje Jerozolimskie gdzieś pomiędzy Bracką a Kruczą. Tylko kilkanaście osób czekało w ostatnim domu. Obawiałem się tłumu. Przed zejściem do rowu pouczono nas z wielką powagą, jak uniknąć kuli snajpera z BGK. Wciąż bawili się w harcerstwo. Przekop był głęboki, Niemcy daleko i niebezpieczeństwa żadnego nie było.

Za chwilę jesteśmy na Nowogrodzkiej. Zmierzcha. Odwiedziłbym Lolka marksistę tuż obok na Żurawiej róg Kruczej, ale wstydzę się swego wyglądu. Zatrzymujemy się w PŻ na Hożej. Pierwszy raz odkąd wyszedłem z kanału, ktoś mną się zajął. Powstańców ze Starego Miasta jeszcze tu nie widzieli. Dwie miłe panie, młodsza, może jest o pięć lat starsza ode mnie. Konserwy, zupa, na deser mleko w proszku na sucho i sztuczny miód. Opowiadam o łusce, o mydle, o „goliacie”, o Władzie i Szoferze. Jest tu i nocleg, ale czterem osobom będzie ciasno. Witek ma ciotkę koło Emilii Plater, niedaleko. Nie chce mi się dalej iść, na tułaczkę, w każdym razie nie tej nocy. Czuję się bezpiecznie z obu paniami. Spodobałem się młodszej. Mógłbym tu spać, opowiadać i znowu spać. Oczy się kleją. Tak tu przytulnie, zacisznie, na uboczu. Edek, Witek i Hanka nalegają, żeby iść na Emmę Plater. Nie wiem, co robić. Może przenocować w PŻ, a rano dołączyć do ciotki Witka. Boję się, że raz rozdzieleni, już więcej nie odnajdziemy się. Coś mi mówi, żeby się stąd nie ruszać.

Przeszliśmy przekopami na drugą stronę Marszałkowskiej. Dom stał, choć linia frontu przebiegała w pobliżu. Ciotka przyjęła nas z otwartymi ramionami. Położyliśmy się do snu jak przed Powstaniem, rozebrani, w łóżkach. Jako zdrowemu przypadło mi miejsce na przykrótkiej, nierównej kozetce. Zasypiając jeszcze myślę: byłoby wygodniej u pań w Peżecie.

W nocy zerwałem się na nogi z okropnym uczuciem i wpadłem do łazienki wymiotując. Ciotka wstała zbudzona rumorem. Wszystko ze

mnie leciało. Przeżarłem się. Umordowany wróciłem na kozetkę i zasnąłem. Znowu budzę się, tym razem pośród ostrej strzelaniny. W sytuacjach podbramkowych ja zwykle przejmuję dowództwo. Edek, niezrównany w manipulowaniu ludźmi, mistrz dramatyzacji, narracji, penetracji, w niebezpieczeństwie nie zawsze reaguje wystarczająco szybko. Dowodem tego był fakt, jak głupio został ranny. Naciągając skarpety zorientowałem się po strzałach, że wkrótce może być źle i krzyknąłem, by uciekać. Nie nadawałem się do rozkazywania, ale w takich chwilach, gdy nie obchodziło mnie, co ludzie pomyślą, zdobywałem posłuch. Chwyciłem spodnie, buty i schodami w dół przy akompaniamencie eksplozji granatów, zostawiając ciotkę opiece Bożej. Oparliśmy się dopiero przy Marszałkowskiej i tu bez pośpiechu ubraliśmy się. Witek przy pomocy laski też żwawo poganiał, w tyle za ledwie parę kroków został. Wkrótce zaczęło świtać. Okazało się, że niemiecki patrol w skarpetkach podkradł się pod polską placówkę w domu obok. Nikomu krzywda się nie stała, ale najoczywiściej mieszkanie ciotki nie nadawało się na miejsce postoju do końca Powstania.

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy ku Alejom Ujazdowskim, gdzie moja nauczycielka francuskiego, mademoiselle Vergne, mieszkała pod 39-tym, a obok, na Matejki, wujek Edka. Najchętniej bym się gdziekolwiek położył, tak mnie nocne wymiotowanie zmęczyło. Chodzenie po powstańczej Warszawie dnia czwartego września 1944 roku, nawet w Śródmieściu Południe, niewiele miało wspólnego z chodzeniem w normalnym znaczeniu tego słowa. Tu ostrzał z poczty, tu z kwaciarni na rogu Marszałkowskiej, tam z BGK. Ulice są proste jak strzelił, ci, co chodzą, wiedzą którądy można. Jeśli zabłądzą, powstańcy ich zawracają. Teraz, za dnia, widać napisy ostrzegawcze i strzałki orientacyjne. Gdzie normalnie idzie się dziesięć minut, w tych warunkach zajmuje to godzinę, zwłaszcza że każdy z nas kuleje, a Hanka ledwo powłóczy nogami. Poruszamy się jak po obcym mieście. Trudność orientowania się polega na tym, że nie wszędzie można bez ryzyka wysunąć się na chodnik lub otwartą przestrzeń i rozejrzeć. Ponieważ nie wiemy, gdzie można, trzymamy się podwórek i przekopów. Czuje się różnicę pomiędzy znacznie większym Śródmieściem Północnym a Południowym. Tam chodziło się ulicami, tu ruch odbywa się w dużej mierze tyłami domów. Miejscowi znają wszystkie przejścia i udzielają wskazówek. Przy placu Trzech Krzyży dowiadujemy się, że ulica Matejki, gdzie mieszka wujek Edka, jest w polskich rękach, ale tuż obok, na

Wiejskiej, są już Niemcy. Idziemy przekopem przez Aleje Ujazdowskie, trochę tu niesamowicie, tyle otwartej przestrzeni. Eleganckie kamienice, wujkowi musiało się dobrze powodzić. Dom wypalony doszczętnie, tylko mur stoi, nawet sklepienia się nie zachowały. Teraz moja kolej, proponuję odwiedzić mademoiselle Vergne. Odnajduję ją tam, gdzie mieszkała, pod numerem 39. Z miejsca łamaną polszczyzną, opowiada o straszliwym ostrzale artyleryjskim i innych okropnych przeżyciach. Przelicytowała mnie, zanim otworzyłem usta. Pomimo dwudziestoletniego pobytu w Warszawie języka dobrze nie opanowała. Polaków bawi, gdy ktoś wymawia nasze słowa z obcym akcentem, a cóż dopiero, gdy pani Vergne, by pochwalić się znajomością polszczyzny, pyta:

- Jak pan wypędził święta?

Przez grzeczność zagaduję o piesku Pon-Pon i uważając, że noclegu nie będzie, żegnam się, nie wiedząc, że jej już więcej nie zobaczę.

W podwórzu obu kamienic pod numerem 39 i obok jest mnóstwo powstańców. Mieści się tu coś w rodzaju wielkiego PŻ. Edek rusza do akcji i wkrótce wszyscy zostajemy zarejestrowani jako podopieczni i ranni. Dostajemy sago z czerwonym sosem. Odtąd sago będzie mi towarzyszyć prawie do końca.

* * *

Z kulinarnego punktu widzenia podzieliłbym Powstanie na następujące okresy:

okres wolski - grochówka i papierosy,
okres wczesnostaromiejski - konserwy i koniak,
okres późnostaromiejski - cukier,
okres śródmiejski - sago,
okres schyłkowy – woda z Wisły.

* * *

Z braku miejsca postawiłem talerz na parapecie, rzecz działa się na parterze. Na podwórzu stali cywile pomieszani z powstańcami. Pod samym oknem jeden z nich pokazywał przyjacielowi cywilowi pistolet. Dla bezpieczeństwa wyjął magazynek. Cywil, dwudziestoletni blondas, mierzył w górę, w dół, patrzył w lufę, przykładając ją do czoła. Widząc takie zabawy zawsze uważałem, aby się nie znaleźć na wprost lufy. Obniżyłem oczy na talerz, gdy usłyszałem pyknięcie. Blondas już padł, nogi mu jeszcze drgały. Zbiegowisko. Podeszedłem i pochyliłem się nad nim. Wsadził sobie kulę tuż nad brwią. Podbiegła sanitariuszka. Poznałem w niej

koleżankę ze Szkoły Zaorskiego, której ojca zamordowali w Katyniu. Wyciągnęła strzykawkę. Powiedziałem, by nie marnowała lekarstw. Podenerwowana, zawahała się, ale dała mu zastrzyk cardiazolu w ramię. Zapewne był to jej pierwszy trup.

Po drodze natknęliśmy się na paru powstańców w staromiejskich panterkach z batalionu „Zośka”. Edek już do nich zagadał i podejrzewa, że coś ukrywają. W trójkę zostajemy w domu pod 39-tym, a on idzie na przeszpiegi. Długo go nie ma, a gdy wraca, natychmiast zwołuje radę wojenną. Rozmawiał z żołnierzami z kompanii „Rudy”. Schodzą oni jeszcze tej nocy z placu Trzech Krzyży na bliski Czerniaków. Mówią, że idą się bić. Ani Edek, ani nikt z nas w to nie wierzy. Jeśli chcą się bić, to dlaczego nie w Śródmieściu, które Niemcy już ostrzeliwują i bombardują. Edek uważa, że zwyczajnie pryskają z Warszawy.

W czasie jego nieobecności przeprowadziłem rozmowy z wieloma śródmiejskimi powstańcami. Według zebranych przeze mnie informacji sytuacja przedstawiała się następująco:

Śródmieście Południe z Czerniakowem, gdzie znajdował się mój dom, wzdłuż ulicy Książęcej łączył przesmyk tak wąski, że za dnia prawie nie do przebycia. Dalej ulicą Czerniakowską można bezpiecznie dojść aż do stadionu Wojska Polskiego i stacji pomp. Na terenie stacji pomp kręcą się tylko patrole, podobno głównie Ukraińcy. Nocą bez trudu da się tamtędy przemknąć do powstańców na placu Bernardyńskim i na Sadybie. Za Sadybą są tylko pola i pola, a za nimi na horyzoncie las Kabacki.

Przez znajomości Edek wpisał nas na listę jednego z plutonów kompanii „Rudy”. Szybko zapada decyzja, że wieczorem schodzimy razem z nimi w dół na Czerniaków, gdzie ma być bardzo spokojnie. Przed zapadnięciem zmroku dołączamy do „Rudego”. Punkt zborny gdzieś u zbiegu Żurawiej i placu Trzech Krzyży. Pierwszy raz w życiu mam okazję rozmawiać z ludźmi, których opisywali w gazetach, z tymi, co się przebili przez Ogród Saski.

W czasie, gdy Lis przepychał się Hipoteczną do Banku Polskiego, część kompanii „Rudy” przeskoczyła Bielańską i przedarła się do Senatorskiej. Już się rozwidniało i dalej nie można było się posuwać, więc ukryli się w piwnicy wypalonego domu. Wkrótce zbliżył się do nich oddział niemieckiej żandarmerii, zaskoczyli go ogniem broni maszynowej i wybili. Potem musieli się przenieść. Rzuciwszy dymne świece, przebiegli na drugą stronę Senatorskiej do kościoła św. Antoniego, miejsca biwaku SS-manów. Z kościoła przemknęli się do

piwnic Biblioteki Zamojskich. Za dnia podjechała niemiecka żandarmeria i oczyszczała kolejno wypalone domy, wrzucając do środka granaty. Nasi ustawili się w korytarzu, który przebiegał samym środkiem piwnicy. Umówili się, że jeśli granat wtoczy się na korytarz, najbliższy stojący chwyci go i odrzuci do pustej komórki. Obserwator informował, co się działo na zewnątrz. Zrazu mieli nadzieję, że Niemcy pominą ich dom. Ale nic z tego, posuwali się systematycznie, otaczali każdą ruinę z osobna z bronią gotową do strzału i wrzucali granaty. Obserwator zameldował, że stoją pod domem obok. Rozległy się stapania kroków. Poleciały granaty do piwnic, jeden z powstańców dostał nerwowego ataku, dość że musieli mu zatkać usta. Kurz wypełnił piwnice. Nagle uspokoiło się. Żandarmi poszli do następnej ruiny. W ciągu dnia wielokrotnie podchodzili, rzucali granaty i strzelali przez okna do piwnic na chybił trafił. Nocą nasi zdjęli biało-czerwone opaski, ustawili się w szeregu i udając Niemców pomaszerowali ogrodem obok patroli aż do ostatnich nieprzyjacielskich stanowisk i hurmem przebiegli na polską stronę ulicy Królewskiej. Powstańcy, biorąc ich za Niemców, dali do nich ognia i jednego zabili.

To już nie żołnierze - to wilki, takim to tylko dać dobre uzbrojenie. Gdy tego słuchałem, serce mi waliło, jakbym sam tam był. Kto teraz potrafi odczuć, co to znaczyło mieć Niemców dookoła? Wątpię, czy nawet sami uczestnicy tych wydarzeń.

Przyszedł czas wymarszu. Przekroczyliśmy Nowy Świat przy placu Trzech Krzyży obok domu, gdzie kiedyś mieścił się sklep „Ad Astra” z przyborami szkolnymi, i ruszyliśmy Książęcą w dół. Zerwała się strzelanina, rakiety wlatywały. Wielka, gorejąca, pomarańczowa kula padła na jezdnię i toczyła się w dół pochyłej ulicy. Rozległo się typowe szSZSZ granatników. Nie słyszałem ich od wejścia do kanału. Kolumna cofnęła się. Podobno Niemcy uderzyli na szpital św. Łazarza.. Strzelanina przeciągnęła się prawie do świtu.

Następny dzień, 5 września, zszedł nam na wyczekiwaniu nocy przy akompaniamencie kanonady ze Śródmieścia Północ. Aby nie stracić zgrupowania „Radosława” z oczu, zatrzymaliśmy się tuż obok. Edek, choć spędził większość dnia na ich kwaterze, nie dowiedział się niczego nowego. Oddziały „Zośka” i „Parasol” schodziły na Czerniaków, pomimo iż wyraźnie szykowało się, o ile już nie zaczęło, natarcie na Północ od Alei Jerozolimskich. Ten fakt potwierdzał nasze przypuszczenia, że spróbują się wymknąć z Warszawy. Całe ich gadanie na temat dalszej walki wyglądało na zwykłe mydlenie

oczu. Cwaniaki, wszyscy mówią to samo. Należało się ich trzymać za wszelką cenę. Dlatego przez cały dzień nie odstępowaliśmy ich na chwilę. Nawet bałem się wpaść na parę minut do Lolka marksisty, który mieszkał tuż obok, na rogu Żurawiej i Kruczej. Poza tym musiałbym jeszcze raz wyjaśniać, kim byłem, a już mi to obrzydło.

Dowiedziałem się, że Anglosasi dopiero przed paru dniami uznali Armię Krajową za kombatantów, to znaczy, że dotąd rozstrzeliwano powstańców legalnie.

Podobno nieprzeliczone tłumy napierają na przekop przez Aleje Jerozolimskie, aby dostać się na tę stronę Śródmieścia. Przyszła wieść, że Sadyba padła. Edek, Hanka, Witek mieli tam rodziny. Edek rozmawiał z jakimiś wykształconymi ludźmi, którzy uważali, podobnie jak my, że komenda AK powinna przekazać władzę w powstańczej Warszawie komunistom i zaprosić do Warszawy przedstawicieli PKWN-u, a jeśli nie, to albo pozwolić ludności opuścić miasto, albo kapitulować.

W Śródmieściu rozwieszono plakaty, czaszka w hełmie ze swastyką, obok nabój karabinowy i napis „jedna kula, jeden Niemiec”. Tani sposób zgładzenia wroga w porównaniu z przeciętnym kosztem zabicia żołnierza niemieckiego na innych frontach, który szedł w tysiące dolarów.

Po zapadnięciu ciemności ruszamy w drogę. Grupkami przesuwamy się na stanowisko wyjściowe przy Nowym Świecie. Na podwórzu stoi ołtarzyk z figurką Matki Boskiej, mnóstwo ich w Śródmieściu. Kilkanaście osób modli się. Czy też Niemcy wiedzą, że Bóg jest po naszej stronie?

* * *

Jak w tym opowiadaniu o facecie, który uważał, że jest myszą i zwrócił się o pomoc do psychoanalityka. Po pięciu latach, pięć razy tygodniowo na kozetce, nastąpiło wyleczenie. Chory nabrał 100% pewności, że jest człowiekiem. Pacjent i doktor pogratulowali sobie wzajemnie, po czym pacjent wyszedł. Za chwilę wraca.

- Co się stało? - pyta analityk.
- Kot siedzi przy windzie.
- No tak, ale pan wie, że pan nie jest myszą!
- Oczywiście, ja wiem, ale czy kot wie?

* * *

Nie zauważeni przekroczyliśmy Nowy Świat i dalej Książęcą w dół pod murem kościoła, przekopami, wnętrzami domów, aż wynurzył się zarys ZUS-u jak ciemna skała. Nerwowe podniecenie zwiększało się

w miarę, jak zbliżałem się do domu. Zostawiliśmy po prawej Rozbrat, który był ziemią niczyją. U zbiegu ulic Okrąg i Wilanowskiej z Czerniakowską masywny budynek rysuje się na tle gwiaździstego nieba jak dziób okrętu - to Okrąg 2. Odłączamy się od „Radosława”, który tu zajmuje kwatery. Cukiernia Żmijewskiego, bazar. Skręcamy w prawo podwórkami. Kamienice stoją nietknięte, tak jak je zostawiłem pięć tygodni temu. Tyle tylko się zmieniło, że ulica Śniegockiej jest przegrodzona barykadami. Wchodzę na ciemne podwórze. Edek, Hanka i Witold zostają przy stróżówce. Dwie osoby rozmawiają, żarzy się papieros. Poznają mnie po głosie.

- Panie Nunusiu - woła kobieta - skąd pan przychodzi, zaraz powiem rodzicom.

Jestem zaskoczony, przecież byli pod Grodziskiem. Kobieta znika w ciemności i wkrótce wychodzi z piwnicy matka. Obejmujemy się, ściskamy...

- Czy wzięłeś złoto? - pyta matka.

Całuję ojczyzna i brata.

Okazało się, że przyjechali do Warszawy kolejką EKD pięć przed piątą w dniu rozpoczęcia Powstania. Gdy wysiadali przy Nowogrodzkiej, młody mężczyzna poradził wszystkim, by pośpieszyli do domu. Ledwo doszli do Marszałkowskiej, rozpoczęła się strzelanina. Zatrzymali się u znajomych i odczekali tam cały tydzień. Dowiedziawszy się, że Czerniaków jest w polskich rękach, rodzice wybrali się do domu zostawiając brata w Śródmieściu. Wędrowali cały dzień i noc. Zrobionych przeze mnie klusek wprawdzie nie znaleźli, za to od razu odkryli brak złota. W czasie, gdy nikogo w mieszkaniu nie było, przebywała tam parę dni „dobra Niemka”, znajoma rodziców sprzed wojny, która w momencie wybuchu Powstania znalazła się na Czerniakowie. Zalękniona szukała schronienia u rodziców, aby poświadczyli, że pomagała Polakom, co zresztą było prawdą. Opuściła nasz dom, nim rodzice wrócili, więc podejrzenie o kradzież złota padło na nią. Niemka, aby uniknąć zarzutu, że się szarogęsiła w cudzej kuchni, zanim wyrzuciła jeszcze ciepłe kluski, pokazała je sąsiadom, którzy z kolei tydzień później opisali je matce. Nikt nie pamiętał, abym był w domu w dniu wybuchu Powstania, ale matka domyśliła się, że kluchy były mojego wyrobu.

Walki w rejonie Książęcej zaostrzyły się, więc matka dopiero po paru dniach mogła pójść z powrotem do Śródmieścia po brata. Tymczasem trzynastolatek, zaniepokojony brakiem wiadomości od rodziców, dołączył do oddziału żołnierzy i tak przedostał się na

Czerniaków. Rozminął się z matką, która w drodze powrotnej z Marszałkowskiej na Śniegocką dostała się pod ogień granatników obok zakładu głuchoniemych na placu Trzech Krzyży, upadła i złamała rękę.

Po kolacji posłano nam łóżka na parterze. Okna wychodziły na ulicę. W następnym pokoju powstaniec z dubeltówką obserwował róg Śniegockiej i Miechowskiej. Uspokojono nas, że pierwsza linia obrony biegnie wzdłuż Rozbratu sto metrów dalej. Po nominalnie niemieckiej, zachodniej stronie Rozbratu, stoi tylko jeden dom, też w naszych rękach, więc o zaskoczeniu nie ma mowy. Najbliższym nieprzyjacielskim obiektem jest przedwojenne żeńskie gimnazjum, w którym za okupacji mieściła się kwatera SA. Mając za sąsiada „Radosława” bez obawy rozbieram się do koszuli. Spoza Wisły, gdzie niebo czarne bez łuny, napływa świeże powietrze. Usypia mnie daleki przytłumiony szmer wojny, nie głośniejszy i nie groźniejszy od cykania świerszczy, kumkania żab i odległego poszczekiwania psów.

Z samego rana Edek pokuśtykał na przeszpiegi do kolegów ze Starówki. Oczywiście, że dniem nie będą się przebijać na południe, ale dobrze wiedzieć zawczasu, co w trawie piszczy. Ja odwiedzam sąsiada z dubeltówką i po zapoznaniu się z miejscową sytuacją opowiadam mu to i owo o prawdziwej wojnie, uwypuklając moje doświadczenia, ale nie poniżając jego własnych. W tym ostatnim różnię się od Edka. Dubeltówka kontroluje ogniem ulicę Miechowską. Tu przed wojną i za okupacji grywaliśmy w piłkę, dopóki miejscowa ludność z pomocą policjanta nie przegoniła nas z powodu wrzasków i nieposzanowania przechodniów. Przenieśliśmy się na Magaj. W kołach moich rówieśników Magajem nazywano pusty, zarośnięty chwastami plac po wschodniej stronie Czerniakowskiej, z tyłu za bazarem, pomiędzy magazynami Społem i nowoczesnymi domami przy Zagórnej. Magaj, coś w rodzaju ziemi niczyjej, ogrodzony był płotem z drutu kolczastego. W późniejszych latach okupacji zwalono tam olbrzymie pnie drzewa i straciliśmy wymarzone boisko do gry w piłkę nożną. Wspominam o tym, bo Magaj miał jeszcze raz stać się miejscem ważnych wydarzeń.

Dubeltówkarz stanowił trzecią i ostatnią linię obrony. Gdyby ode mnie zależało, wysunąłbym go do przodu. Na Starym Mieście wolałbym strzelać śrutem niż kulami. Wiara w wyższość śrutu sięgała czasów mego dzieciństwa. Pod wrażeniem lektury książek historycznych, które kończyły się zwykle kalectwem i śmiercią niedozbrojonych Polaków, postanowiłem skonstruować dubeltówkę

maszynową i nazwać ją śrutomiotem. Wyobrażałem sobie, że na czele kompanii śrutomiotów przychodzę w sukurs osaczonemu Kościuszce pod Maciejowicami i odmieniam bieg historii, bądź też własnoręcznie ze śrutomiotu ustawionego na szczycie reduty Ordona rażę nacierające fale rosyjskiej piechoty. Generał Sowiński lub Bem dekorował mnie potem osobiście pośrodku równiny zasłanej trupami.

Dostajemy lekkie śniadanie z kawą prawie bez cukru, do którego pierwszeństwo mają dzieci. Hankę i Witka zaprowadzili na punkt opatrunkowy. Pomimo braku ropiejących ran mój wygląd budzi współczucie. Z kwitkiem w ręku, dar komitetu domowego, udaję się do magazynu, gdzie znajduje się mienie skonfiskowane folksdojczom. Towarzyszy mi ojczym, aby poświadczyć, że należy mi się zapomoga, ponieważ poza spodniami Luftwaffe nie mam dowodu przynależności do AK, a wygląd mój, poza współczuciem, budzi i podejrzliwość w tej nietkniętej pożogą dzielnicy. Z jednej strony dobrze, że się jednak troszczą, z drugiej, na co mi to przyszło - muszę chodzić po prośbie. Opuszczam magazyn z parą czarnych butów z krótkimi cholewkami i o zadartych nosach.

Edek wrócił z przeszpiegów taki sam mądry, jak przedtem. Paru jego znajomych z batalionu „Zośka” już nie żyło. Pozostał jakiś oficer, którego pseudonimu nie wyjawiał. Ja nadal nie wiedziałem, że moi dwaj koledzy, Rysiek Z. i Jurek G., też byli w „Zośce” i polegli. Powstańcy z „Radosława” twierdzą, że zostają na Czerniakowie, aby bić się z Niemcami. Oczywiście, takim zdyscyplinowanym żołnierzom wierzyć nie można, pary z ust nie puszcza.

Postanowiliśmy nadal mieć ich na oku, do czego, oczywiście, najlepiej nadaje się Edek. Nie tylko, że ma on u „Radosława” kontakty, ale też potrafi wślizgnąć się wszędzie jak namydlony wąż, a i z generałem porozmawia, jakby sam był generalskim synem.

Potem urządzam sobie kąpiel; dla bezpieczeństwa na parterze. Znowu pierwsza woda schodzi jak ze świni. Druga jaśniejsza, ale dna wanny jeszcze nie widać. Pluszcze się, wyciągam, wydłubuję z włosów gruz Pasażu Simonsa, znów skrobię, aż ktoś zaniepokojony przyszedł sprawdzić czy aby nie omdlałem. Na dłoniach, zwłaszcza w przegubach, brud wciąż siedzi na podobieństwo tatuażu i szcztotka go się nie ima.

Przespawszy się po kąpieli, wstałem odświeżony i z nowymi siłami rzucam się w wir życia towarzyskiego. Nie wyłączając rodziny, ten miesiąc rozłąki zmienił nas wszystkich i nasze role. Spotkania ze współlokatorami naszego domu obfitują w niespodzianki. Jakby to

niezmiernie długi czas upłynął od ostatniego widzenia. Mnie, przybysza z mitycznej Starówki, traktują z uwaganiem. Ja z kolei mówię ostrzej, pewniej, zarozumialej. Zapraszają mnie na brydża, a raczej gadanego brydżyka. Zasiadamy na parterze przy oknie wychodzącym na podwórze. Poznaje więcej szczegółów z historii tej dzielnicy.

Pierwszego sierpnia polskie natarcie nie powiodło się. Przez parę dni Czerniaków był właściwie ziemią niczyją. SA-mani z Górnośląskiej zrobili parę wypadów bez powodzenia. Potem nasi uderzyli na nich, też bez powodzenia i stopniowo front wykryształizował się wzdłuż Łazienkowskiej, Rozbratu i przez gazownię do Wisły. Połapano nieco rodzin folksdojczów, które potem, z wyjątkiem mężczyzn, wypuszczono na niemiecką stronę. W przeciwnym razie wszystkich należałoby pilnować i żywić. Prawdopodobnie jednym z celów zwolnienia była chęć nastrojenia miejscowego oddziału niemieckiego przyjaźniej do ludności polskiej. Metoda ta tyle pomagała, co tonącemu brzytwa, ponieważ do natarcia przychodziły specjalne oddziały z innych odcinków, rozwścieczone niedawnymi stratami. W rzeczywistości nikt tu o tonięciu nie mówi i chyba nie myśli. Załamała się Wola, Starówka, złe wieści przychodzą z Powiśla, ale Czerniaków góruje nad falami jak skała Gibraltaru.

Tuż przed moim przybyciem opuścił Czerniaków starszy brat kolegi gimnazjalnego. W pierwszym bodaj natarciu wymknęła mu się z ręki butelka z benzyną. Mój ojczym przez miesiąc leczył go z poparzeń. Bardzo się polubili. Parę dni później w Śródmieściu ozdrowieńca zgmiotły cegły.

Dozorca mojego domu, poznaniak, pozdrawia mnie pierwszy, odkąd wróciłem ze Starego Miasta. Szacunek dla byłego powstańca. Ilekroć nocą gestapowcy przychodzili wypytywać się o lokatorów, podtykał im pod nos swój Żelazny Krzyż, którego się dorobił w armii Wilusia. Nie tak dawno jeszcze, niechby tak piłka uderzyła w ozdobne winorośla lub który z nas wrzasnął głośniej, zaraz nas, dzieciaki, gonił z podwórza wykrzykując „porzundek zaś musi być”. My zaś zmykaliśmy na klatkę schodową i tam czując się bezpiecznie, wołaliśmy na niego z okien:

- Strupel!... Strupel!...

Słowo to w gronie mych towarzyszy uważano za wysoce obraźliwe, choć oficjalnie nie figuruje w słowniku języka polskiego. Aby strupla jeszcze więcej rozdrażnić, czasem chórem recytowaliśmy

wierszyk pod jego adresem:

Szanowne państwo, przepraszam na chwilę,
bo spodnie mi pękli na samem tyle.

Pomimo kąpieli mój wygląd nadal razi na Czerniakowie. Nakłaniają mnie, bym poszedł do fryzjera, który powstańców obsługuje za darmo. Za barykadą przechodzę na nieparzystą stronę Śniegockiej. Idąc podwórkami, mijam dwa domy i od tyłu wchodzę do zakładu fryzjerskiego, gdzie do niedawna znajdował się sklepik spożywczy pana Mrówki. Starszawy, wciąż jeszcze zażywny pan strzyże mnie i goli, a ja mu opowiadam, jak mi to zasypało i mundur, i hełm, i broń, aby nie myślał, że go naciągam na darmo.

Cały dzień spędzam w gronie rodziny i znajomych. Edek z Hanką wyszli na miasto, a Witek, choć go odłamki w nogach uwierają, powłókł się za nimi. Boi się zostać sam, a wybierając towarzystwo, bardziej wierzy w gwiazdkę Edka niż w moją. Teraz zupełnie inaczej rozmawia się z ludźmi, których tylko powierzchownie znało się w czasie okupacji. Nie musimy się podejrzewać, aby przeżyć. Coraz to z nawyku łapię się na niepotrzebnej już ostrożności. Idę z wizytą do naszego mieszkania na drugim piętrze. W kuchni, dziecinnym pokoju i przedpokoju można stać bezpiecznie, ale jadalnię i sypialnię widać na przestrzał z Frascati, gdzie czatują snajperzy. Tuż przede mną stół, za którym zasiadałem kilka razy dziennie przez osiem lat, grałem w ping ponga, w guziki, a teraz podejść nie można.

Wieczorem nakrywają do kolacji. Parę słów modlitwy. Główne danie sago na gorąco z sosem pomidorowym. Stopniowo posiłek przekształca się w rozmowę, a ta w mój monolog na temat Woli i Starego Miasta. Dołącza do nas Edek z Hanką i Witkiem. Zjedli już kolację w gościnie u jednego z miejscowych oddziałów. Potem Edek opowiada, a ja się przysłuchuję z napięciem.

Następny ranek zaczął się od małego skandalu. Edek namówił dubeltówkarza na polowanie. Pożyczył dwururkę i wygarnął do gołębia, który sychnąwszy piórami zawirował i zaczął podskakiwać. Strzelił drugi raz i spudłował. Gołąb wpadł w okno piwniczne po drugiej stronie ulicy. Rozniosła się wieść o marnowaniu amunicji. Edek wykręca się, że to na rosół dla rannych i chorych. Do tego wszystkiego gołębia nie można odszukać, ponieważ Śniegocka znajduje się pod ostrzałem i najpierw należy przejść do przeciwległej kamienicy, a potem sprawdzać komórkę za komórką. Ktoś go tam w końcu znajduje. Jest tu naprawdę raj, a za dowód niech służą gołębie - nawet w Śródmieściu Południe ich nie widziałem. Niewiele zresztą

gołębi przeżyło okupację. Warszawiacy wyłapali je na rosół. Każdy wie, że zdrowy gołąb nie da się złapać. Ludzie jednak uchytrzyli się, karmiąc je grochem maczanym w spirytusie. Gołąb upił się i już było po nim.

Choć burza huczy wkoło nas, nikt się tym zbytnio nie trwoży. Każdy czuje się tak bezpieczny, jakby nad Czerniakowem wisiała szklana, kuloszczelna kopuła. Słyszając porykiwanie „krowy”, tylko w myśli podrywam się na nogi. Po jednym dniu już przywykłem do beztroskiego życia i to i owo zaczyna mnie drażnić, ale wstrzymuję się od uwag. Edek jest mniej powściągliwy. Nasze opowiadania mają taki poziom dramatyczno-artystyczny, że słuchacze dostają wypieków, niektórzy bledną i nie wszyscy mogą spać. Ten i ów nam współczuje: „Biedni chłopcy, tyle przeżyli, nie mogą przestać o tym mówić”.

Starszy brat mojego kolegi Jurka Adamczyka, dzieciaty inżynier, dostał w kręgosłup wyglądając z okna przy Rozbracie. Sparaliżowało mu pół ciała. Choć nie był oficjalnie w AK, pomagał na linii.

Po południu Edek i ja idziemy z wizytą do miejscowego oddziału na Zagórną. Zaczyna się gadka o Starym Mieście. Wpierw na temat techniczno-taktycznych doświadczeń bojowych, użytecznych dla młokosów. Jakim systemem strzelają granatniki, jak zmylić snajpera, co robić przy nalocie sztukasów, jak się zachować wobec „goliata”. Edek z instruktora stopniowo przeradza się w barda. Powstańcy zapełniają pokój, siedzą, stoją, porucznik zastyga we drzwiach. Tyle razy już to wszystko słyszałem w Edka i moim własnym wykonaniu, a od nowa przeżywam. Staję się głównym bohaterem sagi o staromiejskiej „Atlantydzie”. Nie wiem, czy to naprawdę tak mnie widzieli, czy Edka fantazja ponosi.

Wizerunek spokojnego kamiennego posagu - to ja. Po ataku czołgów trupy kolegów już ostygły, a Krok podnosi się z rumowiska i przeciera okulary. Pod Stawkami straszliwa sidolka zwisa u mego lewego boku, zaczepia się o krzaki, kolegom włos się jeży na głowie, a nuż się odbezpieczy, więc przechodzą na moją prawą stronę.

Zwykle na początku biorę mniejszy udział w rozmowie. Gram rolę głuchawego, co udaje, że słyszy lepiej niż naprawdę słyszy. Przekładam wate z ucha do ucha, patrzę rozmówcy na usta zamiast w oczy. Edek tłumaczy, że wyglądam nieco oszołomiony, bo mi wciąż jeszcze dzwoni w uszach od wybuchu „goliata”.

Przychodzi moja kolej. Pod batutą Małego krzykiem płoszymy czołgi, sześciu leży na Nalewkach, w złocistej łusce kula grzechocze,

pierwsze zasypanie, Wład, Szofer, biżuteria na dnie Pasażu. I o tym, jak Marianowi składali raport, że Niemcy wycofują się z Arsenału, a on nie wiedział, iż otrzymał najważniejszy meldunek swego życia. Gdyby go zrozumiał, może batalion by ocalał. Po Powstaniu dam na mszę za duszę mego nieznanego dobroczyńcy, który dwadzieścia minut przed swą śmiercią ukradł mi mydło. Inaczej umyłbym się wcześniej i zdążył wrócić na Salę Obrabiarek pod bomby. Pod tonami żelbetonu, wokół ciał kolegów leży rozsypane złoto, z którym nie rozstawałem się ani na chwilę. Wykupiłem się śmierci.

Nawet gdy ja opowiadam - a cóż dopiero Edek - słuchaczom pewnie wydaje się, że to nie garść złotych zębów, parę złotych monet, pierścień i zegarek, ale prawdziwy skarb spoczywa na dnie grobowca; skrzą się diamenty pośród wieczystej ciemności.

Edek podejmuje gawędę na weselszą nutę. Jak to mnie widzieli trzy razy zabitego, raz nawet z mózgiem na chodniku i jak Kawka zaanonsował mój zgon. Albo jak raz Kawka z poszarzałą twarzą przyniósł nieprawdziwą wieść o śmierci kolegów. Język zawsze mu chodził na wolnych obrotach, nawet gdy się bardzo śpieszył:

- Nastrzelali naszech chłopaków, leżu z poodwalanemy rękami i nogami.

Jego wymowy, zwłaszcza w interpretacji Edka, nie sposób oddać posługując się literami polskiego alfabetu. Edek bawi wszystkich demonstrując sposób strzelania Kawki w Arsenale. Głowa odgięta w tył i na bok, powieki przymrużone, żeby mu kula nie wpadła do oka. Oczywiście, nie pomija historyjki o tym, jak to Kawka dostał od kurwy dywersantki truciznę na spirytusie przeciw pluskwom i potruł przyjaciół, oblewając rzekome samobójstwo Hitlera.

Na zakończenie wizyty zostajemy zaproszeni na żołnierską kolację „czym chata bogata, tym rada”. Wyjmuję watę z lewego ucha, wtykam palec. Wychodząc zabieramy co lepsze kąski dla Hanki i Witka oraz zapas witaminy C, której na Czerniakowie jest w bród. Zjadam kilkanaście tabletek dziennie na wzmocnienie. Całe Powiśle stoi w ogniu, widać to najlepiej nocą. Natomiast nad Czerniakowem niebo jest ciemne i gwiaździste. Nie sposób nie podziwiać własnej roztropności, że nas tam nie ma.

Stan zdrowia brata Jurka Adamczyka pogorszył się, ranny nie oddaje moczu. Wszyscy o nim mówią nieustannie, że prawdziwy cichy bohater, poświęcał się dla sprawy nie reklamując się, jak niektórzy inni. Po dwóch dniach wysłuchiwania tych komentarzy zrobiłem publicznie uwagę, że jeśli człowiek na wojnie się nie

rozumie, lepiej niech się nie pcha; podobnie jeśli kto nie zna zasad jeżdżenia, nie powinien siadać za kierownicą.

Mając tyle wolnego czasu rozmawiam z dziesiątkami powstańców i sam poznaję, jak trudna jest praca oficera wywiadu. W hałdach plew szuka się ziaren prawdy. Powoli wyłania się prawdziwy obraz izolacji Czerniakowa. Te opowieści o przemykaniu się nocą obok stacji pomp pochodzą sprzed paru tygodni. Czasem nawet mnie zdumiewa, jak plotą od rzeczy. Tutejsi powstańcy właśnie nam opowiadali, jak na Frascati zastrzelili dwudziestu Niemców - liczba bardzo pokaźna. A stało się to rzekomo tak: Niemcy nawet nie biegli, szli wydłużoną tyralierą po trawie ku Rozbratowi i nasi ich wykosili z erkaemu.

- W takich samych mundurach jak wy, ze Starego Miasta - mówili. W czasie powstania nigdy nie widziałem Niemca w panterce, najwidoczniej celowo ich nie nosili, by uniknąć pomyłek. Zastanawiałem się, czy jest to możliwe, aby opowiadający kłamali z premedytacją i to grupowo... więc chyba fatamorgana. Nawet Edek słysząc te bzdury wstrzymał się od uwag.

Miejscowi powstańcy dodawali sobie kurażu albo obniżając walory bojowe przeciwnika, albo wyolbrzymiając własne sukcesy. Spalona tankietka urastała do rozmiarów „tygrysa”. Każdy pobity Niemiec stawał się esesmanem, jakby SS było bitniejsze od Wehrmachtu.

Odwiedzamy wyłącznie powstańców w rejonie Zagórnej i Czerniakowskiej, bo to i blisko naszego domu na Śniegockiej, i z dala od frontu. Drobnomieszczańska mentalność mieszkańców kamienicy rekrutujących się z inteligencji już nas tak mierzi, że większość czasu spędzamy na kwaterach miejscowego oddziału. Nie skorzystałem z wielokrotnych zaproszeń, by odwiedzić linię frontu przy Rozbracie zarówno z braku zaufania do miejscowej załogi, jak i z ostrożności. Po co szukać guza. Edek poszedł raz, choć i jemu też do przygód nie paliło się, i sprawił bardzo dobre wrażenie. O wojnie wiedziałem wszystko, więcej doświadczenia nie potrzebowałem. Wprawdzie nadal mnie ona fascynowała, ale widziałem siebie jedynie w roli instruktora.

Jeszcze pamiętam paru powstańców z Zagórnej. Najlepiej z nich dwóch nierozłącznych przyjaciół: Alibabę, krępego, czarniawego, i Zabawę, smukłego, jaśniejszego. Zawsze chodzili razem. Spotyka się często takie układy, wirują jak podwójne gwiazdy, póki życia starczy. Tygrys i Bergman od Barego, Wilit i Tom, Pietrek i Cygan. Duszą czy ojcem kompanii na Zagórnej jest kucharz. Podobają mu się nasze dramatyczne opowiadania, co korzystnie wpływa na

odżywienie całej czwórki.

Coraz to spotykam kolegów sprzed Powstania.

Karolek G., mistrz pływacki z gimnazjum Batorego, stoi na straży Rozbratu. Karolek cierpliwości do studiów nie miał, za to natura obdarzyła go pomysłowością. W dniu, który miał zdecydować o jego promocji do następnej klasy, udał się przed świtem do szkoły i na kortach tenisowych wypisał wszystkie wzory niezbędne do zdania klasówki. Groźny i bystry matematyk, przezwany Czyżykiem lub Żelaznym Czyżem, zauważył coś podejrzanego. Ilekroć bowiem stanął obok Karolka, ten przestawał pisać i popadał w zamyślenie. Gdy Czyżyk oddalał się, Karolek zerkał na korty piętro niżej i zabierał się do pracy. Karolek opowiadał później, ile to kosztowało go nerwów, gdy podejrzliwy Czyżyk, zwrócony plecami do okna, przyglądał mu się ze wszystkich stron, usiłując odkryć ściągaczkę.

Przed rokiem gorszono się, że po rozstrzelaniu swego ojca, Karolek nie tylko nie popadł w nieutulony żal, ale wprost przeciwnie, przywdziawszy ojcowskie wydrowe futro, niefrasobliwie kręcił się po Warszawie, ćmił cygara i zadawał się z tancerkami oraz innymi dziewczynami. Uczęszczał na rewie, gdzie w takt piosenki „nóżki w lewo, nóżki w prawo, nóżki tańczą z wielką wprawą” dziewczęta pokazywały widowni tyle nagiego ciała, ile się dało bez łamania prawa.

Wojtek B., lwowianin, którego kiedyś wyciągałem na wagary, pomimo nienagannych manier wciąż podejrzewany przez moją matkę o zły wpływ na mnie, dotrzymywał mi towarzystwa w wypadach do Wilanowa i na półwysep Czerniakowski. Odpadł jednak, gdy częstotliwość wagarów stała się większa niż raz na tydzień. Częściowo wtajemniczyłem go w plan wysoko zarobkowych gier hazardowych, którego osobiście nie zaaprobował, choć i nie potępił. Powrócił do życia regularnego ucznia, składając mi codzienne raporty o tym, co się dzieje w szkole i co o mnie mówią.

Wieloletniego przyjaciela, Romka, nie udało mi się odnaleźć. W czasie zimy z 1940 na 41 rok wypracowaliśmy razem lukratywny system gry w trzy miasta, godzinami rzucając kostki, czyniąc obserwacje i notatki. Zwłaszcza Romek, jako bardziej cierpliwy i systematyczny, położył w tym wielkie zasługi.

Zasady gry były następujące. „Krupier” rzucał trzy kostki, sumowało się. Warszawa miała numery 4, 7, 11, 14, 17. Krakowa i Poznania po trzydziestu latach już nie pamiętam. Gdy padła dziesiątka, zgarniał „krupier”, chyba że ktoś na nią postawił, wówczas

wygrywało się pięciokrotną stawkę. Za miasto dostawało się trzykrotną.

Miejsca gry można było poznać z dala po wielkich kolorowych parasolach, pod którymi gromadził się tłumek. Najbliższy znajdował się na placu Trzech Krzyży róg Hożej - trochę za blisko mojego domu, inny na Emilii Plater - zbyt blisko szkoły. Najchętniej uczęszczaliśmy do parasola na placyku koło Dworca Głównego, róg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Po drugiej stronie Dworca przy Chmielnej również grano w trzy miasta, to miejsce jednak miało nie najlepszą reputację i widoczność była kiepska.

Jaskinie gry pod parasolami były rozsiane po całym mieście, ale tylko niektóre zapewniały w wystarczającym stopniu bezpieczeństwo osobiste oraz mienia. Była to gra uczciwa, dawała szansę wygrania, niestety, wielu ludzi myliło ją z trzema kartami, które polegały na żonglowaniu, oszustwie i podstawionych konikach. Byli tacy, którzy spędziliby całe życie pod parasolami, gdyby nie godzina policyjna. Spotkałem również takich, nielicznych wprawdzie, co nigdy nie grali, ale notowali numery od rana do nocy. Do jednego takiego, niemłodego już rachmistrza, zwracano się per „Fater z wąsamy”. Ten zawsze, bez względu na pogodę, w znoszonym kapeluszu z obwisłym rondem, wystawał pod parasolem po drugiej stronie Dworca przy Chmielnej. Nigdy nie grał, wciąż zapisywał, z rzadka dawał rady innym, najczęściej po fakcie stwierdzał z zadowoleniem:

- Wiedziałem, że Kraków wyjdzie.

Z braku sztucznego oświetlenia parasole zwijano o zmroku. Interes szedł bez przerwy z wyjątkiem śnieżyc, siarczystego mrozu oraz łapanek. Niektóre funkcjonowały cały rok. Większość parasoli rozwijała się jak krokusy z pierwszymi promieniami wiosennego słońca.

Mniej doświadczeni dostawali wypieków, dużo ludzi dołączało z ulicy popatrzeć sobie i ulegało pokusie wzbogacenia się. Widzowie stanowili większość. Nieraz tylu ludzi się gromadziło, że pieniądze wędrowały pomiędzy krupierem a tylnym szeregiem podawane ponad głowami z ręki do ręki.

Ważne było odcyfrować tajnych współników „krupiera”, lepsza nazwa dla właściciela parasola nie przychodzi mi na myśl. Wspólnika, który udawał gracza, należało nieustannie mieć na oku, aby nie dać się zaskoczyć wydarzeniom. Nieraz żołnierze dołączali, gapili się i chcieli postawić. Krupier niechętnie na to pozwalał. Czasami Niemiec zażądał zwrotu przegranej stawki i za mojej

pamięci bardzo rzadko dostał. Właściciele „jaskiń gry” wiedzieli, że żołnierzom zabronione jest uprawianie hazardu. Do jakiej wymiany słów przy tym dochodziło, jakiego języka używali, polskiego oczywiście! Co czwarte słowo pachniało Oświećciem. Imponowała mi zimna krew „krupierów”, rekrutujących się naturalnie z niższych klas społecznych. Inteligent już dawno oddałby Niemcowi pieniądze lub dał mu w mordę i dostał kulę. Raz, żołnierz wytargowawszy zwrot przegranej stawki, odstąpił wprawdzie od stołu, ale zamiast iść tam, gdzie go służbowy obowiązek wzywał, nadal gapił się z odległości. W pewnym momencie wcisnął się pomiędzy grających i znów chciał postawić. Tłum zachnął się, rozległ się pomruk oburzenia, a „krupier” wrzasnął na Niemca mieszaniną słów polskich i niemieckich, w których powtarzały się „raus”! „Polizei”. Żołnierz wycofał się na dobre. Nie mógł się poskarżyć przełożonym. Nawet gdyby zastrzelił „krupiera”, nie wymigałby się od kary za hazard, i to w jakim towarzystwie. Do kasyna gry na Szucha, obok Gestapo, Niemcom i Żydom wstęp był wzbroniony.

Wyjątkowo zdarzało się, że poszkodowany żołnierz, dysząc zemstą, wracał z zaprzyjaźnionym niemieckim żandarmem. Raz widziałem, już z odległości, jak lali „krupiera” po pysku. Zwykle na okrzyk „żandarmi” jaskinia gry zwijała się w ciągu paru sekund. Składano stoliki, blaty z dykty, kubek, kości, pieniądze. Wszystko znikало, tylko parasol pozostawał na pobojowisku, choć czasem i parasol zdołali unieść.

Bywały wypadki zaskoczenia. Raz żandarm z tajniakiem wpadli pomiędzy graczy i jednym kopnięciem rozwalili jaskinię gry. W ostatniej chwili łapano najważniejsze - pieniądze ze stołu. Należało uważać, aby chwycić swoje, nie było sekundy do stracenia, inaczej „krupier” i jego współnicy zgarniali wszystkie stawki. Wiele tych alarmów moim zdaniem było celowo fałszywych. Może nawet i żandarm bywał opłacany, aby od czasu do czasu zasiać panikę, podczas której stojący z tyłu nie mieli szans sięgnięcia po swoje pieniądze.

Nieraz w pobliżu parasoli kręcili się uliczni sprzedawcy. Jeśli się miało dość siły woli, można było wygraną natychmiast zainwestować. Przez parę tygodni na tym samym rogu były do nabycia żółwie pochodzące z wojskowego transportu na wschodni front. W Polsce żółwie oglądało się tylko w ogrodzie zoologicznym, więc sporo gapiów przystawało. Właściciel zachęcał wahających się klientów wołając:

- Na rosół, na rosół, dla rozrywki, na grzebiecie.

Nie było takiego towaru, który by nie znalazł drogi z transportów na ulice Warszawy.

Wypracowaliśmy z Romkiem dwa systemy zwiększających się stawek, chudy i tłusty, zależnie od planowanego zysku. Obowiązywało parę żelaznych reguł.

Jeden z nas stał przy samym stole, gotów chwytać pieniądze, drugi z tyłu uważał na graczy, na okolicę i trzymał gotówkę. Stawialiśmy tylko na Warszawę i tylko za obopólną zgodą. Czekano się, aż Warszawa nie wyszła ileś tam razy. Udawaliśmy, że się nie znamy, porozumiewając się dotykami i często stawiając na przemian w tej samej serii. Pod parasolem nie lubiano tych, co wygrywali, i zdarzało się, że „krupier” zawyrokował:

- Więcej pan nie grasz, wygrałeś za dużo.

Nie sądzę, aby zawsze „szczęśliwiec” należał do sitwy. Najniższa stawka, zależnie od parasola, wahała się od 25 groszy do dwóch złotych, najczęściej wynosiła 50 groszy.

Zaczęliśmy z kapitałem dwudziestu paru złotych i doszliśmy do czterystu. Zawróciło to nam w głowie. System zdał egzamin, nie było szalonych jednorazowych wielkich zysków ani strat. Powoli, ale stale, pieniędzy przybywało. Pewnego razu Romek był czymś zajęty, nie mógł się wymknąć, więc poszedłem sam na róg Hożej i placu Trzech Krzyży, aby nie marnować dnia, gdyż do szkoły nie było po co iść. Romek spotkał mnie zaraz po szkole i wręczył gotówkę.

Spod parasola dobiegały sakramentalne słowa „krupiera” zachęcające gapiów do stawiania:

- Panowie i damy, zaraz zaczynamy... komu, komu, bo idę do domu... amerykańska gra, jednemu zabierze, drugiemu da.

Nie pamiętam już tych wszystkich powiedzonek. W końcu, gdy już więcej chętnych i wahających się nie było, krupier oświadczał:

- Bomba idzie do góry, co równało się *rien ne va plus* [więcej nie można już stawiać] w Monte Carlo.

Przyglądałem się dłuższy czas... Kraków nie wyszedł 12 razy i wbrew zasadzie, że gramy tylko na Warszawę, zacząłem stawiać na Kraków, który nie wyszedł jeszcze sześć razy. Straciłem sześć stawek. Czegóż takiego nie widziałem, zląkłem się i zaprzestałem gry, a Kraków wciąż nie wychodził.

Romek, niesłuchanie małomówny, wysłuchawszy mego sprawozdania, powiedział tylko:

- Idiota!

Bez komentarzy. Następnego dnia ja znowu byłem zablokowany, więc poszedł sam, bez porozumienia ze mną i przegrał. Pieniądze trzymaliśmy w jego mieszkaniu, ponieważ moja matka była wścibska. Odtąd nam nie szło. Zacząłem się martwić o szkołę. W końcu kupiliśmy sobie po elektrycznej latarce z dwiema zapasowymi bateriami i zostało nam do podziału dwadzieścia złotych. Miałem wtedy szesnaście i pół roku.

Wyciągnęliśmy z tego parę wniosków: że dorośli, którzy unikają gier hazardowych, nie są aż tak głupi i tchórzliwi, jakby to się zdawało, i że trzeba wziąć się do nauki. To ostatnie odnosiło się tylko do mnie. Romek bowiem chodził do szkoły rano, ja zaś o drugiej po południu i zawsze graliśmy na mojej szycie. Całując matkę w oba policzki wychodziłem z domu z teczką pełną książek, rzekomo do szkoły. Na rogu Rozbratu i Książęcej wsiadałem do tramwaju P jadącego w przeciwną stronę - dla zabicia czasu, ponieważ Romek kończył szkołę dopiero o trzeciej. Objechawszy Powiśle w niecałą godzinę wysiadałem na placu Trzech Krzyży, odległym zaledwie o parę minut jazdy od przystanku na Rozbracie, róg Książęcej. Wkrótce spotykałem Romka, już po szkole i z pieniędzmi.

* * *

Coraz to wspominam ostatnie minuty Pasażu Simonsa... ppor. Mariana - jaka myśl przemknęła mu przez głowę, gdy usłyszał:

- Panie poruczniku, Niemcy wycofują się z Arsenалу.

Czy zdziwiło go, że Niemcy, doświadczeni żołnierze, zmieniali załogę tak nieudolnie, że powstańcy to zauważyli? A jeśli Niemcy śpieszyli się, to dlaczego? Czy pomyślał, że powstańcom, też doświadczonym żołnierzom, przywidziało się? Gdyby tylko paru Niemców przeskoczyło z Arsenалу na tyły, nasi nie alarmowaliby dowódcy kompanii, musiało ich być wielu. Jakiż był tego powód? Mógł być tylko jeden: wycofanie własnych ludzi z pobliża naszych stanowisk przed zrzucając bomb, gdyż obie strony dzieliło zaledwie kilkanaście metrów. A może czepiając się nadziei, jak każdy, ppor. Marian pomyślał, że Niemcy uciekają, bo Rosjanie przełamali się na zachód od Warszawy? Czy zameldował o tym dowódcy batalionu? Nie wiedział, że był to najważniejszy meldunek w jego życiu, a miał co najmniej dwadzieścia minut do działania, nim nadleciały sztukasy.

* * *

Sam nieraz zastanawiam się, jaki był mój wkład w zwycięstwo nad Trzecią Rzeszą. Przecież nie trafiłem żadnego Niemca, choć nie mógłbym przysiąc - w takim mętliku nieraz się nie zauważy. Po

dłuższym myśleniu doszedłem do wniosku, że sprowadza się to głównie do faktu, że nie dałem się zabić. Ile to amunicji Niemcy na mnie zmarnowali, ile kul bzyknęło obok, ile granatników, pocisków, bomb. A benzyna do sztukasów; ropa do czołgów; węgiel do parowozów, które podwoziły do Warszawy zaopatrzenie i części zapasowe; a kosztowne rakiety magnezjowe, które rozbłyskały na niebie, ilekroć nocą potknąłem się o cegły. Lotnicy, artylerzyści, fizylierzy, kolejarze, robotnicy w fabrykach broni. Ileż czasu poświęcili oni wszyscy, by mnie zabić. A ilu Rosjan, Anglików, Amerykanów ocalało, ponieważ wszystkie te kule, pociski i bomby nie posypały się na nich.

Jak dotąd oglądałem Powstanie i wydarzenia na frontach niejako z dna leja po bombie. Odkąd powróciłem na Czerniaków, przyglądam się światu bardziej jak z Olimpu.

W przerwach między roberkami dyskutujemy bez przesadnego pesymizmu o ciężkim losie Powiśla, gdyż każdą porażkę Powstania wyrównują wielkie zwycięstwa naszych przyjaciół.

- My utraciliśmy Lipową i Radną, Niemcy Brukselę i Lyon.
- Niemcy zdobyli Elektrownię, Anglicy Antwerpię.
- Ulica Dobra padła, Finlandia skapitulowała.
- Niemcy zajęli Teatr Narodowy, Anglicy twierdzę Namur.
- Niemcy zajęli kościół Świętego Krzyża, Anglicy Besançon.
- Niemcy zdobyli Komendę Policji, Rosjanie zajęli Bułgarię.
- Niemcy przekroczyli Nowy Świat, Amerykanie granicę niemiecką.

* * *

Spacery na Zagórną miały dodatkową atrakcję, był nią maleńki park po drugiej stronie ulicy naprzeciw powstańczych kwater, pomiędzy Solcem a szkołą zamienioną na szpital. Zielony jak lasy za Saską Kępą, którym się przyglądałem z górnych pięter przy Idźkowskiego. Edek rozebrał się do pasa i opalał się, by nagromadzić, jak powiadał, zapas witaminy D na zimę. Szelest liści zamiast mnie uspokajać i usypiać, przysięgał, niepokoił i rozstrajał. Ostatni raz leżałem pod drzewami miesiąc temu w ogrodzie Krasińskich... przespałem nalot heinkli i wtedy pierwszy raz, pół żartem, a może pół serio Cygan, Pietrek czy ktoś inny, bo jeszcze zbyt dobrze ich nie odróżniałem, powiedział - „Krok jest człowiek bez nerw”. Czy też odkopali kogo z nich?... Jakie były ostatnie godziny Pasażu? Jak to się odbyło, gdy Niemcy weszli? Czy ich wpięrowo otoczyli? A ranni, gdzie oni wszyscy teraz są?

U „Wiernego” mówiono, że niedziele były najcięższymi dniami.

Szóstego sierpnia odwrót z Woli, trzynastego nieudane natarcie w getcie, dwudziestego atak „goliatów”. W rzeczywistości było inaczej. Z Woli uciekliśmy wprawdzie w niedzielę, ale bez oddania strzału, nie przelewając ani jednej kropli krwi; lanie w getcie dostaliśmy dwunastego, a więc w sobotę; niedziela dwudziestego sierpnia była ciężka, ale gorszy był poniedziałek, gdy padł Arsenał; wreszcie najgorszy był czwartek 31 sierpnia, dzień zbombardowania Pasażu.

* * *

W rodzinnej kamienicy kwasy. Dowiedzieli się, że Edek i Hanka nie są małżeństwem, więc dlaczego śpią razem. Edek odpałił:

- Nie macie się czym martwić, poczekajcie parę dni.

To z kolei doprowadziło do nowych oskarżeń o podrywaniu ducha i pomruków o komunizmie. Edek na to - że nie ma co podrywać. Starszy ogniomistrz, zakwaterowany na parterze po drugiej stronie podwórka, wyskoczył z „dezertkami ze Starego Miasta”.

- My tu przelewamy krew, a ci dezertki robią wrogą propagandę.

Niestety, nie byłem świadkiem tej sceny, ale opowiedziano mi ze szczegółami. Pojedynek słowny rozgorzał pomiędzy oknem, w którym stał ogniomistrz, a środkiem podwórka, przy milczącym udziale znakomitej części lokatorów. Edek natychmiast zripostował pouczając ogniomistrza, by zacięcia palca przy otwieraniu konserw nie utożsamiał z przelewaniem krwi za ojczyznę i wezwał go, jeśli nie jest tchórzem, do wzięcia udziału w nocnym patrolu na Frascati. Sam zaofiarował się towarzyszyć mu (wysyłano tam tylko na ochotnika). W końcu doprowadził ogniomistrza do takiego stanu rozdrażnienia, że ten, już nie młodzik, wrzeszczał na całe podwórze coś o tym, że własną pierś, że czołgi, że padnie, a nie przepuści. Opinia publiczna wypowiedziała się za wiekiem dojrzałym i patriotyzmem, a przeciw młodości i cynizmowi.

Po trzech dniach męczarni brat Jurka Adamczyka umarł. Zbito trumnę z desek wyrwanych z podłogi, oddział zaprezentował broń, przemawiano -odbyło się to wewnątrz budynku. Oczywiście, nie poszedłem, ale prawie wszyscy lokatorzy wzięli udział w tej uroczystości, a potem sznurkiem przewinęli się obok otwartej trumny, aby oddać hołd zmarłemu. Cała kamienica przejęta pogrzebem... bohater, bohater, bohater. Nie wytrzymałem i wtrąciłem, że jeśli dojdzie do prawdziwej wojny, desek prędko zabraknie. Na ogół jednak starałem się łagodzić zadrażnienia między naszą czwórką a mieszkańcami kamienicy.

Edek podpatrzył śmieszności wielu osób i imitując je, jednych

oburzał brakiem poszanowania, innych pobudzał do spazmatycznego śmiechu. Gdy naśladował akcent mojego ojczyzna i niezbyt staranny sposób mówienia, doświadczałem obu uczuć naraz. Podobnie jak skrzypek przed koncertem stroi swój instrument, tak i Edek nim na całego zaczął naśladować, modulował ton swego głosu, dobierał kluczowe słowa i zwroty upatrzonej ofiary przedrzeźniania, obserwując mimochodem reakcję słuchaczy. Specjalnością jego byli ci, co wtykali, gdzie mogli, niemieckie słowa, udając wiarusów. Jak na przykład: „rzucił w niego ręcznym *handgranatem...*” [granat ręczny].

Pani Adamczykowej zostało jeszcze trzech synów. Z najmłodszym Jurkiem, trzy lata starszym ode mnie, znałem się dobrze. Od dawna mieszkaliśmy w tym samym domu. Odkąd wydorostałem, często sobie przelotnie rozmawiamy. Nawet opalaliśmy się kilka razy w krzakach na cyplu czerniakowskim i pochlebiało mi, że traktował mnie jak równego sobie, pomimo różnicy wieku. Raz nawet poszedł ze mną do niemieckiego urzędu jako tłumacz. Jurek jest w AK, ale co typowe dla Czerniakowa, poza służbą chodzi bez broni. Spotkałem go po pogrzebie brata, wyglądał jak zwykle. Jak wcześniak. Pergaminowa twarz bez krwi, bez tłuszczu. Skóra, chrząstka i kość. Uszy cienkie, spiczaste, pergaminowe, pokryte delikatną siatką żyłek jak poszarpana pajęczyna.

Prasa wciąż dochodzi tu ze Śródmieścia wąskim, bez mała kilometrowym korytarzem wzdłuż ulicy Książęcej. Dowodzi to, że nie powiodły się natarcia nieprzyjaciela na szpital Łazarza celem odcięcia Czerniakowa od Śródmieścia.

Jest tu też miejscowe pismo „Czerniaków w walce”. Ale walka!... Ukazał się w nim artykuł redakcyjny na temat praktyk miejscowych policjantów AK, którzy sobie poprzyszywali do czapek esesmańskie trupie czaszki. Artykuł kończył się ostrym potępieniem i zapowiedzią, że trupia czaszka nigdy nie będzie kalać polskiego munduru. Krążą także odbijane na powielaczu wiadomości radiowe z ostatniej chwili.

Dla nas, na Starym Mieście, żołnierz rosyjski miał coś ze śpiącego rycerza z bajki. Pewnego dnia przyjdzie spoza gór i lasów i zabije smoka. Na Czerniakowie można się przekonać, że to nie bajka. Gdy po spokojnym dniu zapada cicha noc, z domów przy Wiśle, jeśli nie przeszkadza szmer Śródmieścia, słychać czasem od wschodu cichutkie tykanie.

Po żołnierskiej kolacji tradycyjnie idziemy na strych domu przy Idżkowskiego lub jeszcze wyższego, na rogu Śniegockiej i

Czerniakowskiej. Stamtąd przy pomocy lornetki lub gołym okiem wypatrujemy oznak życia frontu, tak samo jak przed półtora miesiącem. Jeśli nie mamy zaproszenia na kolację, a nie wypada się pchać, bo oficerowie tego nie lubią, to albo kucharz albo Alibaba, Zabawa lub któryś z ich kolegów coś zawsze dla nas wyskrobia. W szóstym tygodniu Powstania jeszcze jest co jeść. Sądząc po tym, cośmy znaleźli na Starym Mieście, Warszawa musiała być wielkim niemieckim magazynem żywnościowym na zapleczu wschodniego frontu. A do tego w prawie każdym prywatnym mieszkaniu na czarną godzinę spiżarka zasobna w słoninę, groch, fasolę, wędzony boczek, sól i mydło.

Mnie oczy wcześniej się kleją, za to Edek ożywia się koło północy i mógłby gadać do świtu. Przypominają mi się nocne rozmowy w krzakach przy szkole w ogrodzie Krasińskich.

I tak jeszcze jeden dzień przemija i nawet nie widziałem trupa. Zasypiam na parterze przy oknie bez szyby, dobrze opatulony kocami i czym popadnie, bo noce stały się chłodne, jesień za pasem. Śpi się jak na otwartym polu, tyle że gwiazd nie widać. Jak zwykle budzę się pierwszy i idę do dubeltówkarza na pogawędkę. Nigdy się nie żyło w takich ciekawych czasach. Edek zarzuca koc na głowę i próbuje jeszcze drzemać, wygrzebuje się z łóżka ostatni. Witek śpi jak królik. Uważa, abyśmy się bez niego nie wymknęli, tak jak my uważamy na „Radosława”. Jeśli Edek mu zniknie z oczu, trzyma się Hanki, pewien, że Edek do niej wróci.

Ze Śródmieścia Północ dochodzą takie wieści, iż coraz bardziej podziwiam własną zdolność przewidywania. Wynieśliśmy się stamtąd w samą porę. Niemcy dobrali się także do Śródmieścia Południe i bombardują systematycznie dom za domem pomiędzy placem Trzech Krzyży a Marszałkowską. Gen. Monter zapowiedział nadejście pomocy za 4-5 dni. Już tyle razy zapowiadali bez skutku, a wciąż trudno im nie wierzyć. Z komunikatu wynika, że Niemcy wytężyli wszystkie siły, by zlikwidować Śródmieście Północ. Tak długo jak Śródmieście walczy, Czerniaków wypoczywa. Nieoficjalne wieści przyszły, że po załamaniu się Powiśla powstała panika, dowódcy nie mogli zorganizować obrony, poderwali niedobitków ze Starówki i dopiero ci zatrzymali Niemców, którzy już przekraczali Nowy Świat.

Każdego dnia gapimy się na drugi brzeg Wisły. Na Saskiej Kępie domy stoją jak stały, ale żadnego ruchu nie widać, kominy nie dymią. Jeszcze na Starym Mieście wiedzieliśmy, że na Pradze mężczyzn

wypędzono z domów, tysiące przeszły mostem Kierbedzia na zachód. Przez lornetkę przyglądam się przystaniom i odnalazłem miejsce, gdzie wspólnie z przyjacielem dokowaliśmy za okupacji chybotliwy kajak imieniem „Kika”, wąski jak indiańskie *canoe*.

Gdy wypłynąłem na nim pierwszy raz, nie minęło ćwierć minuty, jak znalazłem się pod wodą. Stopniowo nabraliśmy takiej wprawy, że raz wypuściliśmy się z żaglem. Szło dobrze przez pół godziny. Jeden trzymał koniec sznura, drugi sterował wiosłem. Nie opodał kilka eleganckich żaglówek robiło klasyczne zawijasy. Wyłowił nas starszy kolega od Batorego, komendant kilkuosobowej załogi, nieco korpulentny i pryszczaty blondyn.

Nie wolno było dać znieść się wodzie. „Ktokolwiek zbliży się do mostu na sto metrów lub mniej, będzie zastrzelony” - oznajmiała tablica ostrzegawcza ustawiona na brzegu; pod tym względem można było Niemcom wierzyć. Po tej stronie rzeki przystanie były *nur für Deutsche*. Nie zapomnę swego zdumienia, gdy razu jednego usłyszeliśmy na wodzie etiudę rewolucyjną Szopena, której wykonywanie było Polakom wzbronione, to znaczy karane obozem koncentracyjnym. Okazało się, że grano z płyt w klubie wioślarskim SS.

Woda rwała wartko po tej stronie. Za to przy praskim brzegu, gdzie prąd zwalniał, wiosłując ostro można było szybko płynąć w górę rzeki.

Zaraz za Saską Kępą zaczynały się szuwary, ostrogi, a dalej piaszczyste wysepki porośnięte wikliną. Wisła rozlewała się szeroko, zakręcała w lewo i prąd jeszcze bardziej zwalniał. Stamtąd już miasta nie było słyhać i prawie nie widać.

Wydawało się, że przyszła czarna godzina na Śródmieście Północ. Rysowała się możliwość, że skapituluje, a razem z nim wszystkie pozostałe dzielnice. Co wtedy robić? Zmieszać się z cywilami? Zgłosić się jako powstaniec? Pierwsze wydaje się prostsze i bezpieczniejsze, z tym jednak, że na Czerniakowie dużo ludzi mnie zna i wie, że byłem w AK. Pozostawała trzecia możliwość; zaopatrzyć się w broń, żywność, lornetkę i nocą kajakiem dopłynąć do wysepki na południe od miasta, ukryć w szuwarach kajak, przeczekać dzień i następnej nocy płynąć dalej lub przemykać się lądem. Odstęczał mnie od tego planu między innymi fakt, że Edek nie zostawi Hanki. Musiałbym znaleźć sobie innego towarzysza albo płynąć sam. Znałem teren nie dalej jak 3-4 kilometry w górę rzeki, licząc od mostu, a do rosyjskich pozycji musiało być z dziesięć. Czy

starczy mi sił wiosłować tak daleko pod prąd; zwłaszcza że kajaki były szersze od „Kiki” i przez to wolniejsze. Proszszym wariantem powyższego planu było przepłynąć na wschodni brzeg, ukryć się na Saskiej Kępie i odczekać do przyścia Rosjan. Strach przed wpadnięciem w ręce Niemców był taki, że wszystko inne wydawało się lepsze.

Lubiłem gawędzić z tutejszymi powstańcami. Pomimo że byli w moim wieku lub starsi, taka rozpierała ich żądza przygód, taka w nich była świeżość i naiwność, że właściwie czułem się bardziej ojcem niż rówieśnikiem. Nie wszystkim oficerom podobały się nasze wizyty, ponieważ, ich zdaniem, podrywaliśmy ducha przerażającymi opowieściami. Edkowi coraz to się wymykało, co naprawdę myśli. Znowu podniosły się głosy: maruderzy, komuniści. Niemniej ilekroć pojawialiśmy się, otaczał nas krąg słuchaczy i coraz to więcej zdobywaliśmy sobie przyjaciół i wrogów. Gdyby tak dłużej potrwało, może by i dla nas skończyło się niemiło, bo przyjaciele mieli niższe szarże.

„Parasol” usadowił się w szkole dziennikarskiej przy Rozbracie i nad drzwiami tradycyjnie wywiesił rozpięty czarny parasol. Tak samo jak na Starym Mieście byli najbardziej popularnym oddziałem. Edek codziennie odwiedzał batalion „Zośka”, by zasięgnąć języka. Wciąż podejrzewaliśmy, że w obliczu zbliżającej się kapitulacji Warszawy „Radosław”, zamiast złożyć broń, przebije się na południe do lasów i pójdzie w Kieleckie.

Ktoś ze Starówki podarował mi cętkowany pokrowiec do hełmu. Miejscowi powstańcy gotowi płacić wielkie sumy za esesmańskie panterki: bluzy, spodnie, czapki, cokolwiek. Pokrowiec schowałem do kieszeni. Przyda się, jeśli będę chciał zadokumentować przynależność do AK.

Gdyby nie obsesyjna myśl - co dalej? - życie płynęłoby jak po kwiatach. Po przespanej nocy śniadanie z sago, brydzyk przy oknie na parterze, potem sjesta połączona z drzemką, skromny posiłek z sago, popołudniowy brydzyk, wieczorna wizyta u powstańców, żołnierska kolacja i gadanie, gadanie, gadanie... na zakończenie dnia grupowa wspinaczka na strych, aby przyjrzeć się rosyjskiemu frontowi przez lornetkę.

Wydawało się, że po sześciu tygodniach Powstania nawet Stalin musi się ugiąć pod naciskiem opinii światowej i udzielić nam pomocy. To była nasza największa nadzieja, nie licząc kapitulacji Niemiec, bliskiej już wobec nieprzerwanego marszu na wschód armii

sprzymierzonych, gdy wszystkie ich klęski przypieczętuje cios w postaci przekroczenia granicy niemieckiej przez aliantów. Dotychczasowe doniesienia na ten temat nie znalazły potwierdzenia.